№ 45. Warszawa, dnia 10 Listopada (29 Października) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

SŁOWIANOFILSKA SPOWIEDŹ.

Od czasów Pogodina, Samarina, Chomiakowa, wogóle słowianofilów rzetelniejszego kroju*), nie odzywają się już w literaturze rosyjskiej „hymny braterskie" na cześć „zgodnego pożycia jednej rodziny ludów," a natomiast brzmią nieustannie wojownicze tony nienawiści i zemsty — pod dawnym tytułem sielanek słowiańskich. Czy nowa nuta wyczerpała się w waryacyach, czy obrzydła słuchaczom, dość, że objawił się powrót ku starej. Przed miesiącem „Słowiańskie towarzystwo dobroczynności," liczące w swem gronie najpoważniejszych przedstawicieli szczepowego sztandaru, założyło sobie własny organ, w którym wyspowiadało się nie z grzechów, ale z wierzeń swoich i przekonań. Spowiedź ta miała na celu wykazanie, że upiór panslawistyczny, którym Europa tak się przeraża, w rzeczywistości jest tylko spokojnym i dla wszystkich życzliwym patryotą. Ale posłuchajmy, jak to najnowsze *opus* brzmi dosłownie w najważniejszych punktach:

Panslawiści nie mają nic wspólnego z nihilizmem i zawsze byli jego przeciwnikami. Bronią oni idei samoistności plemienia rosyjskiego, ale nie są wrogami kultury ogólno-ludzkiej i korzystanie z jej owoców uważają za niezbędne. Sądzą oni, że posłannictwo dziejowe Rosyi polega na opiekowaniu się ludami słowiańskimi, ale opieka ta niema na widoku żadnych marzeń ambitnych. Słowianie wszędzie powinni używać jednakich praw z plemieniem, które w danym razie nad nimi panuje, tak, aby ono ich nie wynaradawiało, aby im pozostawiona była możność swobodnego rozwoju, aby posiadali własne szkoły i prawo wyznawania własnej religii, słowem, aby stosowano złotą maksymę *leben und leben lassen*. Dalej następują zapewnienia przyjaźni dla sąsiadów.

To jest rdzeń artykułu. Wybór owej „złotej maksymy" przekonywa, że całe to żądanie wypowiedziane zostało tylko pod adresem niemców i po za nimi traci swą obowiązkową siłę. Uchwyciły też ową jednostronność gazety niemieckie i zaznaczywszy ją przy artykule, odesłały go powrotnie. Mimo to zrobił on wrażenie, bo przesunął się przez poważne dzienniki zagraniczne, przeniknął do naszych i wywołał maleńką burzę w rosyjskich. Wystąpił przeciw niemu naprzód *Russkij Kurier*. „Że nasi słowianofile — powiada on — i główniejsi przywódcy panslawizmu zniesławili widocznie swój program, a jeszcze bardziej swą powagę i wartość osobistą, to jeszcze nie dowodzi, ażeby ciż panslawiści ze swoimi ideałami istnieć przestali i aby prasie naszej wolno było bałamucić i tumanić ogół, zarówno rosyjski jak niemiecki, zapewnieniami i przysięgami, że oni nie istnieją. Takie postępowanie trąci z jednej strony zupełną nieznajomością stosunków i frakcyj w Rosyi, z drugiej bezwzględnym brakiem pojęcia o niemcach, którzy doskonale wiedzą, co u nas jest i jak jest, a czego niema. Zapewnieniom tym nie uwierzy nikt obeznany z istotnym stanem rzeczy i obserwujący osnowę walki w literaturze i życiu między obozem zachodowców i słowianofilów, walki, trwającej już dziesiątki lat a dotąd niczem niezłagodzonej i nierozstrzygniętej."

Nieprawowity w stosunku do dawnych, ale prawowity w stosunku do nowych apostołów organ słowianofilstwa *Nowoje Wremia* dało koledze za ten wywód ostrą i jak zwykle grubą naukę. Według tej gazety, *R. Kurier* miesza walkę historyczno-filozoficznych (sic) poglądów z działaniem politycznem. Słowianofilstwo, jako pewien kierunek filozoficzny (!) istnieje w Rosyi, „ale gdzież jest panslawizm, jako czynność polityczna, dążąca do zjednoczenia Słowiańszczyzny?! Gdzie są jej agitatorowie, gdzie i w jaki sposób przejawiła się i przejawia ich szkodliwa działalność?" „Odpowiedź — mówi sprawozdawca warszawskiego *Wieku* — każdy ma na języku." I my sądzimy, że ona nikomu kłopotu nie sprawi. Według naszego przekonania, sprzeczność zaznaczonych wyżej poglądów wyjaśnić i usunąć łatwo: wypłynęła ona z pomieszania pojęć i wyrazów. Jeżeli pod wyrazem *słowianofilstwo* rozumieć będziemy dawne ideały tej nazwy i uczciwe jego znaczenie, mianowicie jako hasło łączności, równouprawnienia i braterstwa ludów słowiańskich, to rzeczywiście—mówiąc językiem *N. Wremieni* — skryło się ono dziś w Rosyi do filozofii i w działaniach praktycznych przeważnego udziału nie bierze; jeżeli zaś *słowianofilstwo* jest jednoznaczne z panslawizmem albo z panrusycyzmem, to znowu *Rus. Kurier* ma słuszność. Dowodem samo właśnie *Now. Wremia*. Jeżeli się takiego charakteru wypiera, to albo swych artykułów nie czytuje, albo ich nie pamięta. Na „złotą maksymę" *leben und leben lassen* zgadza się, ale o tyle, o ile ją umieszcza w katechizmie niemieckim. Tymczasem, czy: *du sollst nicht tödten*, czy: „nie zabijaj," to wszystko jedno i jako przykazanie obowiązywać powinno wszystkich wyznawców, bez względu na to, w jakim języku odmawiają modlitwy.

Daremne wykręty. Ród dawnych słowianofilów, szlachetnych, rzetelnych, sprawiedliwych marzycieli wygasł, a nie prowadzi go dalej ani p. Suworin, ani p. Aksakow. Tworzą oni całkiem inny gatunek, powiemy nawet — inny rodzaj, który posiada odmienne instynkta i obyczaje. Ten

*) Całą ich plejadę czytelnicy nasi znają z dodatku do *Prawdy* za r. 1881 p. t. *Kwestya polska* M. Pypina.

właśnie rodzaj przestrasza nietylko zagranicę, ale sieje niepokój śród samej rodziny słowiańskiej.

KOMUNIZM, SOCYALIZM I ANTISEMITYZM*).

Gdyby to ludzie raz przekonać się chcieli, że „niema nic nowego pod księżycem;“ że jak natura ludzka i natura społeczeństwa są zawsze te same, tak też wynikające ze współdziałania tych dwóch czynników zjawiska społeczne zawsze te same być muszą i są. Poznanie tej prawdy podstawowej uprościłoby rozwiązanie nie jednego zagadnienia społecznego, albo lepiej mówiąc, oszczędziłoby nam może stawiania wiecznie tych samych i zawsze równie nierozwiązalnych zagadnień. Ale zdaje się, że to jest próżna mrzonka i że podobnie, jak każdy młodzian przebywa te obłędy, które od wieków popełniali jego ojcowie, również i w dziejowym pochodzie następujące po sobie pokolenia ludzkości — zawsze pod innemi hasłami — brną przez te same trzęsawiska i bezdroża.

My mniemamy, że to nasza na najwyższym szczeblu znajdująca się cywilizacya, że to nasza na czele cywilizacyi krocząca Europa—popadły, w nadmiarze rozdrażnienia nerwowego, w pewne dziwactwa, jakiemi są dążenia komunistyczne, socyalistyczne, do których to zboczeń umysłowych dołączył się dzisiaj antisemityzm: gdy tymczasem — to tylko nowe wyrazy i nazwy dla starych jak świat rzeczy, nowe płaszczyki dla dążności, które z natury rzeczy wypływając, nigdy nie przestały i może nie przestaną nurtować wnętrza i głębi społeczeństw.

W każdym razie jest to charakterycznem dla *natury ludzkiej*, że tych płaszczyków nigdy nie brakowało tam, gdziekolwiek pojawiły się owe z *natury społeczeństw* wynikające dążności.

Kiedy w najwcześniejszym stanie ludzkości, w którym życie „dziejowe“ ogranicza się do walk między pojedynczymi szczepami, jeden z nich napada na drugi, aby go zrabować i zdobytym łupem się zbogacić, zawsze tam jakaś pierwotna *doktryna polityczna*, że tak powiem, służy za płaszczyk temu bardzo naturalnemu *działaniu politycznemu*. Nawet plemiona ludożercze, kiedy zjadają jeńców innoszczepowych, czynią to wrzekomo nie dla nasycenia się, ale „na cześć bogów“ swoich. Jest to „zasada polityczna,“ służąca za okrycie dla zwierzęcych żądz i namiętności.

W społeczeństwach uorganizowanych jako *państwa*, gdzie różnorodne żywioły etniczne żyją pod jednym rządem w *układzie* politycznym, te same dążności, wynikające z natury owych różnorodnych żywiołów, występują pod postacią secesyj plebejuszów, buntów niewolniczych, ruchów i zaburzeń agrarnych (np. w starożytnym Rzymie), lub też pod postacią sekciarstw różnych, a więc bądź to pod płaszczykiem zasad politycznych, bądź idej religijnych. Ta ostatnia forma bywała najczęstszą w wiekach średnich Europy. W gruncie tych ruchów i zaburzeń tkwiła zawsze jedna i ta sama dążność zbogacenia się mieniem obcem, zagrabienia majątku i własności innych klas lub stanów społeczeństwa.

Cóż dziwnego, że w naszym „cywilizowanym“ wieku a zwłaszcza w narodzie kroczącym, i to bez przesady, na przodzie cywilizacyi, mianowicie we Francyi prądy te, zacząwszy od drugiej połowy przeszłego stulecia, przetopiły się w filozofię, t. j. starały się uzasadnić i usprawiedliwić *naturalną dążność* jednych żywiołów społecznych przeciw drugim pewnemi hasłami, czy ideami filozoficzno-politycznemi. Tak powstał komunizm francuski Morellego, Mablego i ich następców aż do Proudhona*). Istotą tych doktryn był równy podział majątków między wszystkich, z natury niby „równych“ uczestników państwa; a więc, innemi słowy, ponieważ uorganizowane społeczeństwo czyli państwo polega właśnie na *nierównym* podziale mienia, odpowiadającym naturalnej *nierówności* ludzi, komunizm żądał zabrania majątków tym, co je mają, i wyposażenia nimi tych, co ich nie mają.

Jest to, jak widzimy, ten sam naturalny popęd, który wiedzie jeden szczep dziki do obrabowania drugiego. Tylko płaszczyk filozoficzny jest misterniejszy! Natomiast wszakże ustrój polityczny społeczeństwa *w państwie* paraliżuje tę dążność naturalną tak, że pomimo najmisterniejszego okrycia zostaje ona doktrynerską, bo w praktyce łamie się o potęgę organizacyi, która polega na *nierówności* i *nierównym* podziale mienia. Nie mogąc się urzeczywistnić w życiu, teorye ekonomiczne straciły kredyt i upadły. Ale owe dążenia żywiołów społecznych nie upadły i nie znikły — bo jako naturalne zniknąć nigdy nie mogą. A więc umysł ludzki, z wrodzonej skłonności szukania doktryny dla usprawiedliwienia naturalnych pobudek, wynalazł nowy płaszczyk — nazwano go *socyalizmem* a następnie *demokracyą socyalną*. Jest on zręczniejszym, aniżeli komunizm; skorzystał wiele z doświadczeń poprzednich teoryj; przytem jest trochę wytrawniejszym, głębszym i opiera się na nieco gruntowniejszej znajomości społeczeństwa. Nie żąda zatem *bezwzględnej* równości, bezwzględnie równego podziału majątków, lecz tylko wspólnej pracy i wynagrodzenia każdego *w stosunku* do wartości jego pracy; żąda zniesienia wielu jaskrawych niesprawiedliwości społecznych, w czem mu wszyscy ludzi szlachetni wtórować muszą, ale żąda również takiej *organizacyi* społeczeństwa, którąby *uniemożliwiła z góry* powstanie tych niesprawiedliwości — co jest mrzonką, gdyż póki ludzie są ludźmi, podobny ustrój jest niemożliwym. Bo chociażby nawet u steru postawiono przywódców demokracyi socyalnej, nie zmieni to bynajmniej ani istoty organizacyi państwowej, ani natury rządu i władzy; zmieniłoby się tylko — stanowisko tych panów, bo z przywódców demokracyi socyalnej staliby się władcami a tem samem jej przeciwnikami. Organizacya bowiem państwowa, polegająca na *władzy* i *rządzeniu*, jest z natury rzeczy przeciwieństwem utopii socyalizmu, który marzy o stanie społecznym *bez władzy rządzących* albo raczej z *bezwładnymi naczelnikami*, co jest niedorzecznością. Dlatego też socyaliści, umie-

---

*) Czytelnicy nasi poznali dwa głosy w sprawie antisemityzmu; obecnie przedstawiamy im łaskawie nam przesłany trzeci profesora uniwersytetu w Grazu, autora wielu poważnych dzieł socyologicznych, z których ostatnie streściliśmy niedawno w *Prawdzie*. *Red.*

*) Obszerniej traktuję o tem w dziele mojem po niemiecku napisanem p. t.: *Rechtsstaat u. Socialismus.* Insbruk, Wagner, 1881.

TESTAMENT ALEGO.

— Nie, mój Hikmecie, nie pocieszaj, bo mnie tem tylko smucisz. Chciałbym, żeby życie moje zgasło z dzisiejszem słońcem. Jak skąpiec pieniądze, z taką chciwością ja odliczałem mijające dni, ciesząc się każdym, który mnie do grobu przybliżał. Już niedaleko... wreszcie niedaleko!

— Okryj się, bo chłód przez okno zawiewa.

— Zdrowia mi nie przyniesie, więc go się nie lękam. Ale ty ciągle mnie nie rozumiesz i przypuszczasz, że kłamię. Tymczasem... gdybym mógł wjednem kaszlnięciu wyrzucić resztkę płuc z piersi i skonać, zrzekłbym się nawet twego pożegnalnego uścisku. Hikmecie, Hikmecie, bodajbyś z taką rozkoszą wychylał puhar życia, z jaką ja go roztrącam. Jeżeli serce mi jeszcze bije, to tylko dlatego, że drga nadzieją szybkiego ustania. Wpatrz się dobrze w twarz moją, gdy umrę, a zobaczysz na niej szczery uśmiech.

Zmęczony wysiłkiem Ali opadł na poduszki i utkwił gorejący wzrok w portret jakiegoś chłopczyka, zawieszony na przeciwległej ścianie. Jego blada, wychudła twarz, oblana światłem zachodzącego słońca, przybrała trupią, żółtawą barwę, którą łagodziły zaledwie siwe, w nieładzie rozrzucone włosy i długa roztrzepana broda.

Hikmet ukrył twarz w dłoniach i milczał.

— Gdyby wszyscy — szeptał Ali do siebie — zasnęli w płonącym domu, a ja tylko jeden stał zewnątrz niego, rzuciłbym się w ogień dla wyratowania... obrazu... żony... dzieci... Mehmeda... Vefika... razem... może trzydzieści... niewiele miałbym trudu.

Po chwili niemego marzenia, podniósł się znowu i usiadł na łóżku.

— Gdybym mógł uwierzyć, że ty, Hikmecie, nie jesteś moim przyjacielem, byłbym ci bardzo wdzięcznym.

— Dlaczego?

— Bo chcę ze świata zejść zupełnie wesołym. Ty zaś, poczciwy Mehmed, zacny Vefik i kilkunastu innych przeszkadzacie mi, psujecie humor. Teraz wolałbym zapomnieć, że znałem ludzi, którzy nie byli: złodziejami, chciwcami, wiarołomcami, którzy nie ułaskawiali łotrów i nie krzywdzili uczciwych, którzy nie dawali cnocie ślubu z występkiem. Potworny świat: dla znalezienia cnoty, więcej trzeba przerzucić spodlonych cielsk, niż rozbić skał dla wyszukania dyamentu. Kto mówi prawdę — ostrzega nasze przysłowie — tego z dziesięciu wsi wyganiają. Wyganiano mnie z tysiąca, ale z grobu nie wypędzą. Tam zostanę, a nawet gdy koło mojej mogiły przechodzić będzie niegodziwiec, ucieknie przestraszony, bo usłyszy dobywający się z niej głos wzgardy. I cóż ja...

Zakrztusił się gwałtownie, krew z ust chustką obtarł i legł bezwładny. Ale znowu usiadł i rzekł, śmiejąc się gorzko.

— No, zawiniłem względem ludzi: zamiast podawać miednicę do obmycia brudu, ja im nadstawiałem zwierciadło do przejrzenia się. Bluźniłem religii, bo Allah wydawał mi się lichym konceptem, a jego prorok pijanym marzycielem, bo drwiłem z głupców, całujących nabożnie grzebienie, którymi święci czesali swe kołtuny; obrażałem władzę, bo nie uznawałem się za proch na stopach nakładacza fajek ministeryalnych. Gdy raz napisałem w gazecie, że urzędnicy zbyt rabują skarb publiczny, jeden z nich, złodziej, który, gdyby mógł, ukradłby tęczówkę z twego oka, przytoczył mi starą maksymę: „bogactwo padyszacha jest morzem, nie pije z niego tylko świnia.“ *). Pewien kapłan, z którego trudniej było wycisnąć jałmużnę, niż łzę z oczu trupa, i który w poufnej rozmowie dowodził, że derwisz bez pieniędzy nawet w niebie jest durniem, wyklął mnie jako gorszyciela młodzieży i pozbawił chleba nauczycielskiego. Poeta nasz, który był prawowitym synem swego narodu, przyznał się, że tylko trzy dźwięki odurzają go i zachwycają: „*cisz, cisz!* pieczeni, *gluk, gluk*! butelki z winem i *szuch, szuch*!

*) *Padiszachin mali deniš, Jemejen domuz.*

jący logicznie myśleć, jak Proudhon, idąc ściśle za logiką swych wywodów, doszli do żądania — *anarchii*. Tą ostateczną konkluzyą jednak wykazali sami bezzasadność całej teoryi, bo żądać organizacyi społeczeństwa i anarchii jest sprzecznością; bezrząd bowiem stanowi negacyę wszelkiego ustroju.

A więc i wymagania socyalizmu rozbijają się o opokę *państwa*, czyli tej organizacyi społecznej, która polega na *panowaniu jednych nad drugimi*, co po części jest skutkiem a po części pociąga znowu za sobą nierówność. Socyaliści doradzają eksperyment, przy którym *oni* nie mają nic do stracenia; początkiem bowiem jego ma być, choć w formie nieco odmiennej od komunizmu, ale zawsze *ustąpienie* pewnych korzyści materyalnych nieposiadającym ze strony posiadających. Ale któż ręczy za koniec doświadczenia? Końcem zaś tym może być tylko powrót do dawnych stosunków, które tkwią w naturze społeczeństwa i jednostek, tylko z tą różnicą, że na miejsce *niektórych* dzisiaj posiadających wstąpiliby *niektórzy* szczęśliwi eksperymentatorowie. Natura stosunków ludzkich, natura interesów materyalnych i społecznych nie zmieniłaby się ani o włos.

Bezowocność i bezskuteczność teoryi socyalistycznych a więcej jeszcze niemoc i bezpłodność dążeń ich wobec silnej organizacyi państwowej musiały doprowadzić do wybuchów rozpaczliwych, które już tylko zadość czynią najniższym żądzom i namiętnościom, a choć zawsze jeszcze jakiegoś płaszczyka, niby to politycznego używają, z góry jednak zdradzają swoją bezcelowość. Bo mają one charakter osobisty, skierowane są przeciw jednostkom lub pojedynczym grupom jednostek i zaspakajają też tylko żądze jednostek i pomniejszych grup. Do tych wybuchów desperackich zaliczam te, które przypisywane bywają t. z. *nihilizmowi*, i te, które się pokrywają płaszczykiem *antisemityzmu*. Pierwszy już samem nazwiskiem zdradza swoją istotę, który może być tylko skutkiem pewnego obłędu umysłowego, popychającego do działania bez świadomości celu albo raczej z świadomością, że działanie nie ma celu.

Przeciwnie znowu antisemityzm *ma* wprawdzie cel, ale już tylko tak niski i drobnostkowy, że chyba najnikczemniejszym osobnikom starczy za pobudkę działania. Zrzeka on się urzeczywistnienia *ideałów* komunizmu i socyalizmu, zadawala się natomiast — złupieniem kilku żydów. Niema wątpliwości, że na gruncie antisemityzmu leży ta sama dążność naturalna, wynikająca z istoty społeczeństw, pragnienie jednych zbogacenia się kosztem drugich — zwłaszcza jeżeli ci jedni i drudzy stanowią różnorodne części społeczeństwa. Ale podczas kiedy komunizm i socyalizm zajmowały się choć w teoryi organizacyą *całego* społeczeństwa, co samo przez się wywierało wpływ uszlachetniający i przyczyniło się także do zgłębienia zagadnień społecznych, antisemityzm nie potrzebuje żadnych idealnych teoryj, ale licząc na naturalny rozdział między różnorodnemi częściami społeczeństwa rzuca się na jedną z nich, która nie posiada sympatyi innych, aby kraść i łupić — przyczem wszakże, nie mniej jak komunizm, socyalizm i nihilizm, wpada w starcia z państwem, którego organizacya polega również na nietykalności posiadania i mienia. To też „akcya polityczna“ antisemitów kończy się zwykle w kryminale, nie zostawiając bohaterom swoim ani śladu aureoli, jak to bywa przy innych kierunkach, które programatami swymi obejmują „całą ludzkość.“ Pod tym względem wielce charakterystycznem jest zjawisko, że najwięksi orędownicy antisemityzmu w Węgrzech, redaktorowie nienawistnych żydom organów w Preszburgu i Peszcie, tacy Windische i Verhovaye dostają się do kryminału za defraudacye i oszustwa, popełnione wcale nie na semitach, lecz na aryjczykach czy hunnach. Rzecz prosta. Antisemityzm ogłasza rabunki częściowe, dozwolone tylko względem potomków Sema; ale w zapale apostolstwa zapomina o genealogii i myśli tylko o *kradzieży* — a więc w dalszym ciągu padają ofiarą jego potomkowie Jafeta, Chama czy też Hunna, że się tak wyrazimy, stawiając starym zwyczajem wytyczną personifikacyę, na oznaczenie odrębności szczepowej. Bo też antisemityzm jest znowu tylko płaszczykiem, pod którym ukrywają się poprostu stare instynkta komunistyczne, skierowane przeciw własności a więc w gruncie znowu *antipaństwowe*.

Popędy te i dążności nie są nowe; występowały one, jak wspominaliśmy, w zeszłych wiekach, choć pod innemi formami i nazwami. Jak na zachodzie Europy, podobnie i Polska widziała w różnych czasach ruchy chłopskie i kozackie, bunty i rzezie „chamitów“ przeciw „jafetitom“ po wsiach, „tnmulty“ na żydów po miastach itp. Słowem — *nil novi sub coelo*! Trzeba tylko starać się poznać istotę rzeczy a nie dać się uwodzić i zwodzić zmiennym formom i nazwom.

Rabunki i kradzieże stanowiły kiedyś główną treść życia „dziejowego“ ludzkości, kiedy ta jeszcze na nieskończenie liczne szczepy rozdzielona, zapełniała kulę ziemską. Organizacye państwowe tę sprowadziły zmianę, że spoiwszy na stałych siedliskach układem społecznym różnorodne żywioły etniczne, położyły tamę rabunkom i kradzieżom a natomiast wszystkie siły i instynkta zaborcze skierowały ku wojnom międzynarodowym. Na tej zmianie polega cała moralność nasza, cała etyka czasów historycznych, cała cywilizacya nasza. Ale od czasu do czasu budzą się w składowych cząstkach społeczeństw, zarówno jak i w niektórych jednostkach, te odwieczne dzikie pożądania z czasów przedpaństwowych — jest to rodzaj atawizmu społecznego. Rządy i państwa bronią się, jak mogą, przeciw tym ruchom, bo czują instynktowo ich niebezpieczeństwo dla dzisiejszych ustrojów politycznych: ale smutna rzecz, że w ojczyźnie Kanta uczone półgłówki łatają i łatają płaszczyki doktryn i teoryj dla tych niedorzecznych dzisiaj dążności i, z godnym lepszej sprawy zapałem, uprawiają i głoszą: „Kathedersocialismus“ i „*praktisches* Christenthum.“

Dr. Ludwik Gumplowicz.

SPOŁECZNE KIERUNKI W TEORYI I W ŻYCIU.

VI.

Pozytywizm jest teoryą, opartą na rozumowaniu i przekonaniu; szuka więc tylko poparcia obmyślanego i dobrowolnego. Stara się szerzyć swe zasady, dowodząc jedynie i przekonywając, narzucać nie chce nic. Od rządu dlatego domaga się, zarówno w organizacyi przemysłowej, jak

---

szeleszczącej sukni kobiecej!“ Kto ma inne upodobania, kto paląc fajkę wobec wyższego znaczeniem lub majątkiem, puszcza kłęby dymu przed siebie, zamiast kątem ust wysuwać go za siebie — ten u nas grzeszy przeciw religii, moralności, społeczeństwu, jest bezbożnikiem, zbrodniarzem, zdrajcą, wszystkiem, czem ja byłem. Ha, ha, ha!.,

— Nie mów tak dużo — prosił Hikmet, gdy jego przyjaciel dostał nowego napadu kaszlu. Przecierpiałeś wiele — to prawda, ale dziś stosunki się zmieniły...

— W mojem sercu nic się nie zmieniło; ten grot, który je zranił przed dwudziestu laty, tkwi dotąd, a boleści nikt nie złagodził żadnym balsamem. Wlokłem życie, bo go potrzebowała moja rodzina — teraz jestem wolny. Nie odciągaj mnie, Hikmecie, już dosyć męczarni... już czas! Mój syn za długo na ojca w grobie czeka. Marzyłem, że w nim wychowam człowieka doskonałego — byłby takim, gdyby mi go śmierć nie wydarła, zanim zdołałem wszystko mu powiedzieć i zanim on zdążył objawić mi swoją wolę. O ile wszakże odgadłem, spełniłem ją.

Nastąpiła chwila długiego milczenia, podczas której suchotnik znowu wpatrywał się w portret z niemem wzburzeniem.

— Napij się słodkiej wody — rzekł Hikmet — język masz spieczony.

Ali drżącą ręką dotknął do ust szklankę i nieco uspokojony, jak gdyby w zachwyceniu, słabym głosem mówić zaczął.

— Kiedy byłem z nim w Aleksandryi, wyszliśmy raz za miasto. Powracając, przechodzimy koło jakiegoś wzgórza, gdy syn mój zatrzymuje mnie nagle i pyta: co to jest ojcze? Rzeczywiście spostrzegam dziwny obraz. Owo wzgórze było zasypanem rumowiskiem starych budynków, jak wielka gąbka podziurawionem niezliczoną ilością jam, z których wyglądały psie głowy. Słyszałem, że ruiny dawnych miast egipskich służą za schronienie tym biednym, dziko żyjącym stworzeniom, ale nie wyobrażałem sobie takiego roju. Później objaśniono mnie, że ten należał do największych. Każdy pies wygrzebuje sobie tam dwie nory: jedną od wschodu, drugą od zachodu słońca — i zmienia swe legowisko stosownie do tego, gdzie skwar mniej dopieka. Żywią się wyrzuconą przez miasto padliną, o ile im sępy jej nie odbiorą. Gdy żeru zbraknie, zjadają własne szczenięta. Spostrzegłszy nas, psy zawyły chórem przeraźliwie. Jedne wychyliły się do połowy z jam, inne stanęły na boku wzgórza, a jedna suka, przybiegła do mego syna i zaczęła się łasić. On wyjął z kieszeni bułkę i rzucił jej. Wtedy wypadła ku nam cała gromada chudych, wynędzniałych, z powyszarpywaną szerścią, z dzikiem wejrzeniem, skomląc, szczekając lub wyjąc. Zacząłem cofać się przerażony obawą napadu głodnych zwierząt. Ale one tylko, wijąc się jak węże i skowycząc przeraźliwie, lizały ręce mojego synka. Czasem tylko zawarczały na siebie, ani jeden na nas. Śród tego hałaśliwego orszaku przysunęliśmy się aż do Aleksandryi. Przed pierwszym domem psy stanęły i zaszczekawszy kilkakrotnie, wróciły do wzgórza. Tylko jedna suka, która właśnie dostała bułkę, szła ciągle w pewnem oddaleniu za nami, nawet przez miasto, mimo gradu kamieni, które na nią ulicznicy rzucali. Dopiero cofnęła się od bram hotelu. W kilka tygodni potem, wyjeżdżając z Aleksandryi, gdym wsiadał do dorożki, słyszę po za sobą rozpaczliwe skomlenie. Oglądam się i spostrzegam ową sukę, która skacze koło nas i ciągle odbiega do kląbu. Syn mój, zaciekawiony wchodzi do ogródka i znajduje czworo nowonarodzonych szczeniąt. Jaka ona była uradowana, jak go lizała! Zawołałem portyera i zostawiwszy mu kilkanaście franków, prosiłem o żywienie biednej matki. Przyrzekł mi, ale ona rozmowy naszej nie zrozumiała, bo gdy siedliśmy do dorożki i odjechali, zawyła rozpaczliwie. Już okręt nasz ruszył, gdy syn mój woła: ojcze — jest! Rzeczywiście nad brzegiem stała ta sama ryża suka, skomląc żałośnie, a chwilami nawet gotując się do skoku w morze. Pomału straciliśmy ją z oczu.

Wzruszony tem opowiadaniem starzec przerwał i zatopił się we wspomnieniach. Ale znowu zaczął:

— Wypadek ten zwrócił moją uwagę, na rozdzierający, przez nikogo ani jednem słowem współczucia nieuczczony dramat śród praw konstantynopolitańskich. Jak

i w sprawie oświaty, wyłącznie tylko neutralności państwa i praw powszechnych, zniesienia przywilejów i zapewnienia wolności.

Z samej natury rzeczy odrzuca on stanowczo rewolucyjne środki dla wprowadzania swych ideałów w życie. Uznaje słuszność gwałtownych przewrotów tylko wtedy, kiedy silnem szarpnięciem trzeba było zwalić przegniłe już zapory. Teraz otwarte drogi do powolnego, *prawidłowego* rozwoju. Innemi słowy, pozytywizm polityczną rewolucyę uważa za złe, ale w pewnych wypadkach nieuniknione, hasło zaś rewolucyi społecznej — według niego — jest pustym dźwiękiem, mieszczącym w sobie niepodobną do złagodzenia sprzeczność, jest starym narowem metafizycznym, mogącym spowodować nawet rzeź i pożogi, ale nigdy niedającym ludzkości dodatnich nabytków. W głosach swych do robotników pozytywiści powtarzają ciągle: „Co przyjdzie wam z tego, jeżeli nawet otrzymacie najidealniejszy ustrój, kiedy korzystać z niego nie potraficie, kiedy zawsze mądrzy was, nieuków za nos wodzić będą.“ Reformy przez dekrety zmieniają instytucye, ale nie ludzi, a każdy krok naprzód wymaga moralnej przemiany człowieka. Pozytywizm więc żąda, aby *wszyscy*, bogaci i biedni, mężczyzni i kobiety, po skończeniu nauki domowej (14 lat), pobierali wyższe wykształcenie (dogmat). Nauka ta powinna być bezpłatną, ale nie obowiązkową. O konieczności jej przekona kapłan — uczony. Taki kurs nauki pozytywnej ma *dowieść* ludności prawa społecznego życia i wykazać płynące stąd obowiązki.

Uczeni stanowią *władzę moralną* i wskutek tego tą pozbawieni materyalnej — siły, lub bogactwa. Za jeden z najniezbędniejszych warunków moralnego rozwoju ludzkości Comte uważał rozdział władzy materyalnej i moralnej (świeckiej i duchownej). To łatwe do zrozumienia Ci, co kierują opinią publiczną, nie powinni mieć żadnych widoków na celu, prócz dobra społecznego; nie powinni zależyć ani od rządu, ani od możnych (chociażby wydawców), ale, mając zapewniony byt, spełniać z godnością i poświęceniem swój obowiązek.

Wszelkie nieuniknione zajścia w życiu przemysłowem winny być rozstrzygane, lub usuwane przez władzę moralną.

Zajścia jednak między posiadaczami i robotnikami takiego chronicznego charakteru, jak dzisiaj, mieć nie mogą i nie powinny. Sprzeczność interesu ich jest wymysłem. Zarówno jedni tak i drudzy pracują dla wspólnego społecznego celu. Wobec pozytywistycznego wyświetlenia istoty życia, okazuje się jasno, że jedność i zgoda jest możebną i pożądaną.

Wyniki socyologii pozytywistycznej są fatalne dla szerzenia się teoryi wśród ludzi, którzy pozbyli się teologicznych wierzeń (a to jest jedyna sfera dostępna); nie mogą być dziś jeszcze mile witane projekty nowego kultu i podstawy przekształcenia społecznego inne, niż ukochane hasła „wolność,“ „sprawiedliwość“ itd. Prócz tego w epoce, gdzie większość postępowych żywiołów marzy o pośrednictwie państwa we wszystkich sprawach tego świata, wywód czysto moralnego rozwiązania zadań ludzkich ufności wielkiej wzbudzić nie może.

Zapomnijmy jednak na chwilę o wynikach, a zatrzymajmy się przy podstawie. Czy rzeczywiście ludzkość jest tem dla jednostki, czem ją mieni Comte? Czy rzeczywiście warunkami niezbędnymi społecznego istnienia są: ciągłość i solidarność? Mnie się zdaje, że na pytania te trzeba dać odpowiedź twierdzącą. A jeżeli je tylko potwierdzimy, to można się pokusić o wyszukanie innego sposobu rozwijania uczuć, niezbędnych dla zbiorowego bytu, ale niepodobna odrzucić wywodu o *obowiązku* zostawienia następcom naszym jak największego spadku. Sądzę, że pozytywizm dosyć mocno usprawiedliwia swoje plany co do zasad urządzenia szczegółów życia, aby je przyjąć w całości; są to jednak rzeczy podrzędne, a głównie ważnem dowiedzenie, że punktem oporu dla każdej społecznej przemiany, że osią, koło której należy nam skupić swe usiłowania, powinna być nie potęga materyalna, ale duchowa natura człowieka. Po zniknięciu lub wobec zanikania wiary, czy nie widzimy, że przekonanie, oparte na dowodach, występuje jako jedyna trwała podstawa. A więc przeobrazicielką może, powinna i musi być *nauka*. Co dzień mamy dowody, że powątpieniu o rodowodzie władzy, podanym przez św. Pawła, państwo, pomimo olbrzymich środków, staje bezsilne wobec społecznych reform. Pomysły jego zdają się nie przystawać do życia. Można to zresztą zrozumieć łatwo i ujrzeć konieczność takiego zjawiska. Rewolucyjne oświetlenie wieków ubiegłych wzbudziło nieprzezwyciężoną niechęć w ludności dla swych doczesnych kierowników. Najbardziej szczere nawet zamiary tych ostatnich muszą się wlec wolno jak rzeczywistość wtedy, kiedy gnane biczem fantazyi jedynie ideały wpływowej części mas pędzą lotem pary w niezniszczalne wyżyny. Socyolodzy wogóle, a szczególniej ci, co zajmują się badaniem materyalnych warunków bytu, lubią szydzić sobie z wiary w czynniki moralne. A tymczasem historya ma dowody, że odegrały one wcale nie ostatnią rolę. Przytoczę przykład na poparcie tego, zaczerpnięty z prac Comte'a. Mahomet zakazał pić wina i jeść pewnych pokarmów swym wyznawcom. Jakiekolwiek siły mogły potem strzedz ustaw Koranu, zawsze było to polecenie bezsilnej materyalnie jednostki, które przetrwało wieki. Ale nie dość na tem; moralny ten dogmat ma doniosły wpływ na kulturę krajów, zamieszkałych przez mahometan, na rolnictwo, na handel, na zwyczaje i obyczaje narodu, na jego charakter itd. Dźwignią tu była wiara i ona umiała wzbudzać zaufanie; dziś na jej miejsce staje przekonanie, jemu też trzeba powierzyć przyszłość.

Do tego, com już powiedział o stosunku teoryi Comte'a wobec innych teoryi społecznych, muszę dorzucić jeszcze parę punktów dla dokładniejszego wyświetlenia jej stanowiska.

Pozytywizm zarzuca ekonomistom równie jak i socyalistom pewien egoizm zbiorowy, zapatrywanie się na kapitał jak na własność jedynie teraźniejszości, bez uwagi na rolę przeszłości i bez względu na obowiązki dla przyszłości.

Rozwiązanie zagadnień społecznych u Comte'a jest przedewszystkiem moralne, podczas gdy tamte teorye są czysto ekonomiczne, wyłącznie materyalne, a wskutek tego cząstkowe jedynie, nie uznają więc silnego związku wszystkich czynników ludzkich, istniejących w rzeczywistości. Tamte dla postępu chcą zużytkować dźwignię osobistego interesu, pozytywizm, nie odrzucając tego czynnika, poddaje go siłom duchowej natury, wskazuje sposoby ogólnego, dobrowolnego współdziałania w miejsce wymuszonego siłą.

---

wiesz, mnożą się one swobodnie, ale żyją tylko nieczystościami ulic. Razu pewnego rząd, dla rozwiązania tej kwestyi psiej, kazał je wytruć. Rozrzucono po mieście przynęty ze strychniną. Padło wtedy kilka tysięcy ofiar. W dniu tej sromotnej egzekucyi spostrzegłem przez okno młodego psa, taczającego się na ulicy w męczarniach. Biedny, za mało zjadł strychniny i nie mógł zdechnąć. Pokazałem go synowi, który, słysząc przed chwilą naszą rozmowę z żoną o środkach przeciw otruciu, porwał butelkę oliwy, wybiegł na dwór i wlał całą w gardło cierpiącemu zwierzęciu. Po kilku godzinach pies przyczołgał się do naszego domu i legł zwinięty. Trzeciego dnia wyzdrowiał i naprzód objawił swą wdzięczność mojemu synowi. Odtąd Kady — tak go nazwałem — do końca życia był naszym serdecznym i nieocenionym przyjacielem.

Kłucia w piersiach przerwały suchotnikowi opowiadanie.

— Innym razem — ciągnął dalej — ja, syn i Kady wyjechaliśmy na morze. Gdy łódka zbliżała się do nagiej skały, która sterczy niedaleko wyspy, usłyszeliśmy jakieś dzikie wycia, a jednocześnie Kady zaczął wietrzyć nosem i objawiać szczególny niepokój. Zauważył to nasz przewoźnik i rzekł z uśmiechem! „Jak on czuje zdaleka pole bitwy swych braci. Sułtan (Mahmud) kazał wywieść na tę [illegible] kilka tysięcy psów, ażeby się z gło-[illegible]mnie pożarły. Już się rozdzierają od trzech dni.“ Łódź przysunęła się dalej. Wtedy ujrzeliśmy straszny widok. Cały grzbiet skały pokryty był szkieletami i kawałami skór, a śród tego wrzała wściekła walka gryzących się psów. Nie mogłem patrzeć — krzyknąłem na przewoźnika, żeby wracał. Syn mój płakał, ściskając Kadego, ja skamieniałem... Podaj mi wodę, Hikmecie...

Ledwie zdołał połknąć napój, chwycił się za piersi i upadł wznak na poduszki. Długa rozmowa, przykre wspomnienia wyczerpały go zupełnie. Zamknął oczy.

— Będziesz spał? — spytał Hikmet po cichu.

Ali potwierdził lekkiem poruszeniem głowy.

Słońce już zaszło, mrok rozpostarł się po pokoju, którego ciszę przerywał jedynie częsty oddech chorego. Hikmet, nie chcąc go rozbudzić, nie zapalał świecy. Nareszcie, jak gdyby we śnie wyszeptał Ali:

— Idę już... idę... mój najdroższy... Położę się obok ciebie... będziemy znowu... jak zawsze... razem... Matka wkrótce do nas przyjdzie... Psy... Ha, ha, ha... doczekałem wreszcie tej chwili... Nikt mnie zabić nie chciał... Śmierć nie zawodzi... pocztiwa!... Dobrze mi... choć boli... No, kończ... dosyć, dosyć!

Umilkł, ale za chwilę, przytomniejszy nieco zawołał:

— Hikmecie!

— Jestem.

— W tym stoliczku — rzekł omdlewającym głosem — jest kartka papieru, na której spisałem mój testament. Tobie powierzyłem wszystko. Jeśli umrę, zanim żona się obudzi, powiedz jej, niech się spieszy. Zwlekać nie będzie, bo nas bardzo koch...

Ostatnie słowo rozwiało się w ciężkiem westchnieniu. Hikmet pochylił się nad Alim, ale już nie usłyszał nawet jego oddechu.

Szybko zapalił świecę — na łóżku leżał trup.

Szczery smutek rozlał się po twarzy Hikmeta, gdy załzawionym wzrokiem wpatrzył się w martwą a rzeczywiście uśmiechniętą twarz przyjaciela. Wreszcie potarł czoło, wysunął szufladkę stolika, wyjął kartkę papieru i zaczął czytać:

„Majątek mój, składający się z domu i ogrodu owocowego, pozostanie dożywotnią własnością mojej żony. Po jej śmierci spieniężony złożyć, w bezpiecznym banku jako wieczysty kapitał, od którego procenty przyjaciel mój Hikmet lub osoba przez niego wybrana zużytkowywać będzie na zakup żywności dla najbiedniejszych i najuczciwszych — psów konstantynopolitańskich.“

— Oszalał?! — syknął Hikmet, mnąc gniewnie w ręku papier.

Okoński.

Według zdania uczniów Comte'a, ekonomia polityczna stosuje w sferze przemysłowej teoryę osobistego interesu na *korzyść kapitału*; socyalizm zaś współczesny, mimo wszelkich przeczących pozorów, dąży do tego samego na *korzyść robotników*. Pozytywizm natomiast szuka zgody między interesem publicznym i osobistym i chce otrzymać współdziałanie społeczne bez poświęcenia niezależności jednostkowej.

Z zarzutów, czynionych samym tylko socyalistom, zasługuje na uwagę tylko ten, że nie zwracają oni uwagi na właściwości natury ludzkiej. Zapominając o wrodzonych usposobieniach, przyjmują, że każdy człowiek zdolny jest do wszystkiego, zamiast starać się zużytkować na korzyść społeczeństwa konieczne odrębności. Jeżeli jednak z socyalizmem teorya pozytywistyczna walczy, to z drugiej strony nie odmawia mu bynajmniej szacunku i uznania dla szlachetnego celu i szczerych zamiarów. W formułach jego widzi ona nawet postęp pozytywny wobec metafizyki haseł demokracyi. Za to zwolenników teoryi wolnego handlu potępia z całą stanowczością. Popisując się wszędzie ze swym liberalizmem ekonomicznym, pseudo-następcy Smitha łączą się zawsze z wstecznikami, kiedy chodzi o jaką inną wolność. Zresztą zarzuty i dowody pozytywizmu przeciwko manchesterczykom są też same, co stawiane dziś przez historyczne i socyalistyczne szkoły (wcześniejsze tylko); powtarzać więc ich nie będę, przytoczę tylko z jednej z broszur najdosadniejszy wywód.

„W gruncie wolność ekonomicza jest niczem innem, jak uczonem sformułowaniem plutokratycznego egoizmu, obłudną i sofistyczną sankcyą duszenia słabych przez silnych, ubogich przez bogatych.“

(D. c. n.).

Z Heidelberga.

Październik, 1883.

Przygotowania do obchodu 400-letniej rocznicy urodzin Lutra. — Lutherus redivivus. — Pomnik niederwaldzki.—Epilog jubileuszu Jeża. — Zagraniczne przekłady jego powieści.—„Widma“ pani Orzeszkowej.—Koncert Rubinszteina. — Odczyt Brehma o rybach i ptakach skandynawskich. — Ilu jest jezuitów? — Dr. Koch i cholera. — Cmentarz tutejszy. — Głos wołający na puszczy.

„Luter, und kein Ende“ — można powiedzieć dzisiaj, w przededniu czterechsetnej rocznicy urodzin reformatora niemieckiego: druki, pisma, pisemka, broszury, przedruki, obrazki i t. d. sypią się jak z rogu obfitości. Wszyscy teologowie, wszyscy historycy, wszyscy patryoci, powołani i niepowołani, męczą machiny drukarskie, aby okazać działalność i wpływ Lutra na wszystkie strony życia duchowego Niemiec: Luter jako ekonomista, Luter jako twórca języka piśmiennego, Luter jako pedagog, Luter jako polityk itd.—takie są tematа ruchu przedjubileuszowego. Śród tej powodzi druków i przedruków, zwraca uwagę ślicznie powtórzona, w dokładnej homograficznej kopii, Biblia przekładu eks-księdza Marcina; prócz tego cieszą się wielkiem powodzeniem Köstlina żywot Lutra i Freytaga *Doktor Luther*, udatny obrazek dziejowo-cywilizacyjny, dawniej już napisany, ale teraz, nie wiem już po raz który, przedrukowany. Tenże Köstlin wiele wrażenia uczynił polemiką swoją z Janssenem, historykiem katolickim, podnosząc głównie obronę dobrej sławy Lutra przeciw stronnym, acz niepozbawionym talentu i uczoności wywodom Janssena. Dziesiątego listopada odbędą się w kilkuset miastach i miasteczkach obchody jubileuszowe; w Wormacyi grają już i śpiewają misterium, czy dramat religijny *Luter*, z muzyką Herriga; ma być postawionych kilka pomników, założonych kilkadziesiąt nowych fundacyj imienia Lutra itd. Słowem, w braku ruchu politycznego, mamy tu nieposplitą ruchawkę jubileuszową, która z pewnością wielkie i pożyteczne ślady w piśmiennictwie, sztuce, dziejach dobroczynności i w wielu innych gałęziach życia zostawi. Ale na dnie radości i pompy obchodowej leży pewna wątpliwość: czy rzeczywiście w roku 1483, czy też w 1484, urodził się „szanowny jubilat,“ jak mówią nasze kochane dzienniki... Nie traćmy zresztą nadziei dowiedzenia się prawdy; jeżeli tylko spełnią się życzenia kościoła protestanckiego, wyrażone w kazaniu p. Harmsa: *Das Verlangen der Kirche nach der Wiederkunft Lutheri* (Lipsk, 1883), to z ust samego „jubilata“ usłyszymy prawdziwą datę jego przyjścia na świat.

Śród przygrywek do tego obchodu, przebrzmiewają echa niedawno odbytego odsłonięcia pomnika niederwaldzkiego. Płynąc statkiem po Renie we wrześniu, miałem sposobność przyjrzenia się temu dziełu: jest bez zaprzeczenia wspaniałem i stoi w miejscu szczęśliwie wybranem. Na wysokiem wzgórzu, należącem do gromady gór Niederwaldu, pod Bingen, ściele się wielki teras, okolony piękną balustradą; na terasie piętrzy się olbrzymia podstawa, ustrojona w rzeźby, a na niej wznosi się stojąca postać Giermanii, rozmiarów kolosalnych, jak Bavaria pod Mnichowem. W szczegółowy opis nie wdaję się, boście już musieli przynajmniej z czasopism ilustrowanych poznać to nowe uwiecznienie idei jedności i przewagi niemieckiej.

Spokojny, niepostrzeżony — przynajmniej przez teleskopy czasopism naszych— odbył się dawniej jeszcze epilog jubileuszu naszego Jeża. 30 sierpnia w Gienewie grono rodaków, zamieszkałych przeważnie w Szwajcaryi i krajach sąsiednich, obchodziło raz jeszcze ćwierćwiekową uroczystość pracy literackiej wielkiego naszego pisarza, składając mu upominki w słowach i adresach serdecznych, które wraz z dawniejszem piękny a obfity już zbiór stanowią. Wkrótce ma wyjść książeczka, opisująca ten obchód, będę więc w stanie dostarczenia czytelnikom szczegółów jego; tymczasem niech ta wzmianka odświeży niedawne wspomnienia i naszych usiłowań uczczenia tegoż jubileuszu, które się zespoliły w *Ognisku* i licznych z kraju adresach.

Chwalimy i fetujemy Jeża, a powieści jego nie czytamy, a przynajmniej mniej czytamy, niż by na to zasługiwały. Zawstydzają nas w tem cudzoziemcy. Śliczną powiastkę *Czarnogórka*—w roku zeszłym wydrukował powien tygodnik gienewski w przekładzie francuskim; zaraz też i niemcy ją przetłomaczyli i wydali oddzielnie; z tłomaczenia niemieckiego powstało rosyjskie i ukazało się w odcinku *Wiadomości moskiewskich. Uskoków* na język francuski przełożyła panna Antonina Miłkowska, obecnie nauczycielka w wyższej szkole żeńskiej w Lyonie; tłomaczenie to drukował jeden z wielkich dzienników paryskich; wyszło ono w roku 1882 oddzielnie w dwóch tomach i znalazło bardzo pochlebne zajęcie w krytyce. Obecnie *Wiener Allg. Zeitung* zamieszcza w odcinku przekład niemiecki *Uskoków* i zapewne wkrótce ujrzymy tę powieść w oddzielnem wydaniu niemieckiem; jednocześnie tłomaczenie jej czeskie ukazuje się zeszytami. *Ofiary* tłomaczy na język niemiecki Lipiner, znany z wybornego przekładu *Pana Tadeusza*; powieść ta wyjdzie wkrótce nakładem Prochaski w Cieszynie. Znany jest zapewne czytelnikom piękny a sympatyczny artykuł Karpelesa o Jeżu w jednym z ostatnich numerów niemieckiego tygodnika literackiego *Gegenwart*; zdaje mi się, że dzienniki warszawskie podały go niedawno w streszczeniu. Prochaska będzie drukował następnie przekłady niemieckie i inne utwory naszego powieściopisarza. Tak więc, gdy pierwsze lody złamane, sława jego wkrótce zabrzmi w piśmiennictwach europejskich i przekona o wysokiem uzdolnieniu Jeża tych nawet u nas, którzy o zaletach Słowackiego i Krasińskiego dowiadują się z artykułów *Revue des deux mondes*.. Nikt nie jest prorokiem w własnym kraju.

Mówiąc o przekładach naszych powieści, nadmienię, że mię świeżo zawiadomiono, iż *Widma* pani Orzeszkowej wkrótce wykończone będą w tłomaczeniu rosyjskiem.

Ze wszystkich tłomaczeń rosyjskich najwięcej mi się jednak podobało tłomaczenie dzieł Chopina przez Rubinszteina. Miałem sposobność słyszeć wielkiego tego wirtuoza świeżo w Darmsztacie. Bawi on dłuższy czas w Frankfurcie, gdzie mają wkrótce (1 listopada) wystawić operę jego *Machabeusze*; otóż pobliski Darmsztat, korzystając ze sposobności, zaprosił go do siebie. Koncert powiódł się wyśmienicie. Rubinstein gra Chopina niewypowiedzianie pięknie, nie mówiąc już, że każdego mistrza oddawać umie w sposób właściwy i charakterystyczny. Program cały składał się z gry samego tylko Rubinszteina i, rzecz dziwna, nie zawierał ani jednej własnej jego kompozycyi. Dziesięć lat minęło od chwili, kiedym raz ostatni go słyszał; okres ten, zdaje mi się, spotęgował jeszcze olbrzymią grę jego: taki w niej panuje spokój, a przytem taka nieporównana siła, czystość i słodycz, że tylko dziwić się należy, jak jedna jednostka tyle najwyższych zalet skupić w sobie zdołała. Miałem sposobność porównać grę tę z wykonaniem młodego D'Alberta, którego słyszałem tutaj na dni kilka przed koncertem darmsztackim. I to dzielny artysta; mechanizm posiada ogromny, zapału wiele, ale w dotknięciu ma jakieś wady, ton wydobywa przyduszony i mętny; zapewne z czasem pozbędzie się tego i wyjdzie na jednego z pierwszorzędnych fortepianistów.

Widzi z tego łaskawy czytelnik, że tak zwany „sezon“ już się tutaj rozpoczął; u nas sezon równoznacznym jest z otwarciem półrocza zimowego w uniwersytecie; zaziérają i do nas czasami duchy wyższe, jak do starych zameczysk. Oto właśnie w dzień koncertu Rubinszteina odbył się tu odczyt przelotnego ptaka, głośnego zoologa Brehma, o górach ptaszych na północy. Nie byłem na nim, gdyż uległem pokusie muzycznej, która większą się okazała od chętki zoologicznej. Ograniczę się więc krótką wzmianką, streszczając wrażenia jednego ze słuchaczów. Prelegent przeniósł myśl audytoryum w góry zachodniej Skandynawii, w okolice zabudowane drewnianymi, czerwono malowanymi, o zielonych dachach domkami, kryjącemi nieliczną ludność, żywiącą się głównie tem, co włosi nazywają „owocami morza.“ Każdej jesieni ściągają tam tłumy rybaków z południa, a nie mogąc wszyscy w chatach się pomieścić, stają główną kwaterą na okrętach i statkach. Obfitość ryb w niezliczonych zatokach Norwegii jest niezmierna: wiosło wbite w masę tego natłoku rybiego stoi czas jakiś jak rydel w ziemi, sieci pękają, sił ludzkich brak do ich wyciągnięcia; aż do początku wiosny nie zmniejsza się bogactwo połowu. Wtedy pojawia się współzawodnik człowieka w pastwieniu się nad rybami: niezmierzony legion ptactwa. Lęgnie się ono w górach i skałach, żywiąc się rybami i rybkami. Brehm jako typowy okaz opisuje kaczkę puchową (której puch, pod nazwą „gagaczego“ znamy już w Warszawie). Gnieździ się ona byle gdzie, nawet w domach ludzkich; za ten dowód ufności, niewdzięczny, jak zwykle, człowiek odpłaca jej tem, że odbiera jaja i korzysta z guana; kaczka buduje nową siedzibę, której tym razem rybacy już nie rabują,

ale czekają, aż pisklęta podrosną; wtenczas, uzbrojeni w kosze, udają się na swojego rodzaju żniwo: zabierają kaczęta do jednych koszyków, a guano do drugich; matki lecą tuż za rabusiami; ptaszęta rzucają na morze, gdzie zaraz cała gmina kacza bierze je pod swą opiekę; puch z gniazd i piskląt idzie na sprzedaż, a nawóz na pola. Kaczek tych i innych gatunków ptactwa morskiego gnieździ się tam takie mnóstwo, że gdy wystraszone wystrzałem działowym wzlecą, zakrywają zupełnie widnokrąg, robiąc wrażenie spadającego masami śniegu.

Człowiek wyzyskuje biedną kaczkę, a biednego człowieka wyzyskuje jezuita. Świeżo, z powodu naznaczenia nowego generała (*nota bene* za życia dotychczasowego), obliczono ilość jezuitów na świecie. Ogółem było ich 11,058 w roku 1882; w ciągu lat dwóch, od r. 1880, przybyło tysiąc. Z liczby ogólnej na Niemcy, Austryę, Belgię i Holandyę przypada 2165, na Włochy 1558, Francyę 2797 (najwięcej!), Anglię i Amerykę północną 1895, Hiszpanię i Meksyk 1933.

Przepraszam, że od towarzystwa Jezusowego wprost przechodzę do cholery: ale może niejeden uzna, że przejście niezupełnie jest *ex abrupto*. Otóż o tej nieprzyjaciółce rodu ludzkiego ciekawe podał niedawno wiadomości dr. Koch, lekarz naczelny cholerycznej stacyi doświadczalnej w Egipcie w liście z d. 17 września do ministeryum w Londynie. Stwierdził on następne dostrzeżenia: że cholera egipska zupełnie tożsamą jest z azyatycką; że zaraźliwymi, podczas jej trwania, są tylko odchody; że w ciałach zmarłych na cholerę widoczne są zmiany jedynie w kiszkach, a mianowicie obecność obficie rozrodzonych tam drobnowidzowych żyjątek, należących do rzędu baccylli, a mających kształt laseczek, bardzo podobnych do bakteryj, rozwijających się przy nosacinie; że dotychczas nie udało się zaszczepić zarazy cholerowej żadnemu zwierzęciu; że ostatecznie nie wiadomo, czy te żyjątka są *przyczyną*, czy *następstwem* choroby *). Niestanowczość wniosków swych dr. Koch przypisuje tej okoliczności, iż badał cholerę ustającą, a więc w okresie, kiedy zaraźliwość jej znikała. Prosi więc, aby dla dalszych spostrzeżeń dozwolono mu, wraz z komisyą, przenieść się do Indyi, gdzie, jak powiada, znajdować się będzie „w daleko pomyślniejszych warunkach, bo w samem natężeniu epidemii.“ Tak ładnie sformułowanej prośbie rząd niemiecki nie mógł odmówić i pan Koch popłynął do Bombaju.

Tymczasem ludność heidelberska płynie na cmentarz. Dziś właśnie, kiedy list ten kończę, mamy 1 listopada, poświęcony pamięci zmarłych. Tam, na zachodnim stoku gór naszych, śród ciemno-zielonych gajów cyprysowych i bujnych splotów wiecznie zieleniącego się bluszczu, spoczywają szczęśliwi od nas wybrańcy nirwany, a pomiędzy nimi i nieliczni rodacy nasi. Grobowce ich w dobrym są stanie; jeden był tylko pomnik opuszczony i walący się; nosi on napis: „S. P. Franciszek Jazdowski, inżenier-mechanik, rodem z Litwy; zmarł 1876 r. w wieku lat 23. Ofiara nadmiernej pracy. Zawiedziona nadzieja kraju.“ Dziś jednak, staraniem szczupłej kolonii polaków tutejszych, pomnik ten odświeżony, wypadły krzyż marmurowy umocowany, a zamiast chwastów zieleni się piękna murawa i kwiaty. Zapisuję wiadomość tę dla tych, których może bliżej obchodzić.

Spełnienie przykrego obowiązku odkładałem aż na koniec, myśląc, że może papieru mi zabraknie i będę miał pretekst zaczekania aż do listu następnego. Ale stało się przeciwnie; więc mówię, choć z przykrością. Oto są tu blisko dwudziestoletnie długi rodaków naszych, niepopłacone różnym magazynom. Przesyłam więc tym panom uprzejme ukłony od panów Kochenburgera, Ehrmanna *e tutti quanti* i przypominam, że ojcowie nasi mawiali: „redde quod debes.“ Napisałem „mawiali,“ pozostawiając czytelnikowi rozwiązanie pytania, czy tylko *mawiali*, czy też i *robili* tak jak *mawiali*. Chopin w liście do Fontany (r. 1839) pisze: „O, A, nie tak prędko będą wiadomości; pocóżby pisał, chyba długi płacić, a tego w Polsce niema zwyczaju.“ Złośliwy Chopinie! Zobaczysz, jak cię zaraz zawstydzimy tu w Heidelbergu.

Jan Karłowicz.

*) Szczegółowe wyjaśnienie daliśmy w nrze 43 *Prawdy*.

NIEŚMIERTELNOŚĆ CZŁOWIEKA.

(Dokończenie).

Na malowanym haku zawiesić można tylko malowany łańcuch — mówi jeden filozof angielski. Tak i p. D. do widma siły żywotnej przyczepia równie obiecujące „siły:“ „zdolności,“ samowiedzy, czucia, pamięci itd. Godnem jest pomieszczenia w muzeum archeologii psychologicznej rozumowanie autora, za pomocą którego w zakresie świadomych objawów duszy stara się udowodnić jej byt substancyalny. Bytu tego dowodem jest jakoby pamięć, „bo — pyta p. D. — w czemże przechować się mogą odebrane niegdyś wrażenia, jeżeli nie w *bycie stałym*, w duszy, przecież nie w atomach mózgu, który odnawia się co parę tygodni?“ Widzimy tu objaw do szczytu doprowadzonej filozoficznej surowizny: autor zadawala się czczym pozorem wyjaśnienia, pustym wyrazem, w który żadnej treści włożyć niepodobna, któremu zatem przypisywać można wszystko, co się komu podoba. „Dusza przyjmuje wrażenia przetwarza je na wyobrażenia, pojęcia i sądy.“ Czyż to nie jest mielenie wyrazów, z którego wychodzi sam fakt powtórzony i nic więcej? Zjawisko pamięci objaśnia się naprawdę, t. j. podciąga się pod ogólniejszą grupę objawów, jedynie przez hypotezę fizyologiczną, która godzi się najzupełniej z ciągłą przemianą materyi mózgowej. Jeśli na korze młodego drzewa zrobimy nacięcie, to jakkolwiek i w drzewie odbywa się obrót materyi, bruzda wskutek tego nietylko nie znika ale utrwala się, zachowując zarys pierwotny. W ciele zwierzęcia rana często zostawia na zawsze ślad czyli bliznę. Podobnie przedstawiamy sobie i zmiany, zachodzące w nerwie pod wpływem pobudzenia, i takich to zmian dotyczy Herbartowska nazwa „śladów.“ Tylko że współczesna psychologia śladów tych nie rozumie, jako plastycznych wciśnięń, lecz jako pewne zmiany dynamiczne t. j. możliwości ruchów cząsteczkowych nerwu w określonej formie i następstwie (asocyacya wyobrażeń), skoro raz ruch ten w danej formie i w danem następstwie przez pobudzenie został wywołany. Że zaś pewne zjawisko świadomości zależnem jest od pewnej formy ruchu cząsteczkowego, to i utrwalenie określonej formy ruchu jest wystarczającym warunkiem utrwalenia wrażeń czyli pamięci. Niewątpliwie jest to, jak i sama atomistyka, hypoteza, daleka od sprawdzenia, ale daje ona objaśnienie rzetelne, nie mija się z porządkiem znanych nam zjawisk, nie powołuje do sprawy żadnego nowego czynnika i zadawala umysł nasz bardziej, aniżeli pojęcie pamięci, jako kuferka, w który „dusza“ czyli „ja“ wkłada swoje nabytki, aby w razie potrzeby stamtąd je wydobywać.

Nie na lepszej podstawie wspiera się i główny dowód, mający świadczyć o duszy, jako „bycie stałym i odrębnym,“ mianowicie fakt „ciągłej tożsamości czyli trwałości osoby ludzkiej (moralnej) obok ciągłej nietożsamości organizmu cielesnego“— fakt, który p. D. nazywa „najniewątpliwszym.“ Dla czego? Dlatego „iż mam na to dowód wyższy nad wszelkie argumenta logiczne, mam swe poczucie wewnętrzne,“ „czuję, iż dziś jestem tym samym, którym byłem przed rokiem.“ Jak widzimy, autor jeszcze nie wyszedł z okresu naiwnej wiary w świadectwo poczucia wewnętrznego, świadomości. Lecz w takim razie uznaćby powinien za prawdę bez dalszych rozważeń wszystko, o czem świadomość ta nas poucza, a więc np. że słońce obraca się koło ziemi, albo, że dwie linie równoległe, poprzecinane skośnemi pod kątem ostrym, nie są równoległe, lecz zaginają się ku sobie itp. Jeśli zaś na to odpowie, iż tu działają tylko zmysły omylne, nie zaś świadomość wewnętrzna, na to roześmieje mu się każdy, kto zna choć trochę teoryę poznania zmysłowego, a którą wykładać tutaj nie miejsce. Dodam natomiast fakty, w których świadomość podlega złudzeniu w zakresie zjawisk czysto podmiotowych, np. gdy za stany proste bierzemy te, które są złożone (jak percepcya przestrzeni, piękna itp.), gdy przypomnienia snów uznajemy za wspomnienia realne, że pominę złudzenie wolnej woli, które p. D. pewnieby zakwestyonował. Zresztą wewnętrzny ten świadek w danym wypadku i dlatego traci wiarogodność, że o rzeczy znanej niewątpliwie, jako przeciwna, świadczy toż samo przy równych warunkach: boć ciało nasze odmienia się i w pewnym terminie nie jest tem, czem było przedtem, a przecież człowiek nieobeznany z fizyologią, opierając się jedynie na bezpośrednim, świadomem postrzeganiu, wierzy w ciągłą *tożsamość* jego równie głęboko, jak p. D. w tożsamość osoby moralnej. Świadomość, jako czynnik poznania, uczy nas tylko, iż czegoś jesteśmy świadomi, co nie przesądza, bynajmniej o realności tego rodzaju poznania: halucynant utrzymywać może to tylko, iż *słyszy* głos i dotąd ma słuszność, lecz błądzi, gdy zaczyna wierzyć, że głos ten istnieje rzeczywiście. Podobnie gdy tożsamość swej osoby wewnętrznie czujemy, wiemy stąd to tylko, iż tożsamość tę czujemy, ale bynajmniej nie to, iż ona istnieje. Aby rzecz tę rozjaśnić, uciec się trzeba do ubocznej obserwacyi faktów i umiejętnej analizy. Użycie takich środków badania okazać może, iż przemiana materyi w organizmie nie sprzeciwia się wcale ciągłości naszej osoby moralnej wtedy nawet, gdy ta ostatnia nie stanowi bytu „odrębnego,“ lecz jest ściśle od organizmu zależną; i że następnie owo poczucie jedności „ja,“ o ile istnieje rzeczywiście, wywieść się daje empirycznie ze znanych procesów umysłowych.

Przedewszystkiem więc przemiana materyi w organizmie dotyczy jego treści, atomowej zawartości, a nie formy: każdy nowy atom układa się w temże miejscu i w takimże stosunku, jak poprzedni, tak, iż układ i kształt organizmu przy ciągłej przemianie atomów pozostają w zasadzie niezmienne, jak koryto rzeki, w którem wciąż świeże fale przepływają. Ta trwałość formy i ustosunkowania części w ustroju zapewnia mu jednostajność funkcyj: wątroba odnowiona zdolna jest tak samo i w takiejże ilości żółć wydzielać, jak i przedtem. Dlatego i czynność mózgowa nie ulega zmianie z odnową materyi, owszem czynność dzisiejsza podobną być może do przeszłorocznej, poczucie wewnętrzne uznawać ją może za ciągłą, osobę zaś naszą za tą samą. Lecz właściwie na wytworzenie pojęcia stałego „ja“ wpływa wiele ubocznych czynników, śród których przeważną rolę spełnia pamięć.

U podstawy leży percepcya własnego ciała, w odróżnieniu od ciał innych ludzi i wszelkich przedmiotów, percepcya, którą

zawsze pamiętam mniej więcej jednakową; dalej przez ciąg mego bytu snuje się w przybliżeniu niezmienne pasmo panującego nastroju, uczuć, usposobień moralnych, zwłaszcza czucia ogólnego, czyli ustrojowego. Te oto objawy stanowią realną podwalinę tożsamości osoby, ale zresztą tożsamość ta jest w znacznym stopniu pozorną tylko, a poczucie iluzyjnem. Ciało nasze, jakkolwiek utrzymuje się stale w granicach pewnego typu, jednak stopniowo zmienia swój kształt zewnętrznie i wewnętrznie: organizm rośnie, niektóre narządy wzmacniają się, inne zanikają, niektóre rozpoczynają nową czynność (płciowe), co wszystko pociąga za sobą i przeobrażenia psychiczne; „ja“ dziecinne różnem jest zupełnie od „ja“ dojrzałego, w stanie choroby innem, jak w zupełnem zdrowiu. Jeśli zaś mimo to zachowujemy poczucie swej tożsamości, dzieje się to wskutek dwóch czynników. Naprzód wewnętrzne przemiany osoby moralnej zachodzą stopniowo i tak powolnie z minuty niemal na minutę, iż, na mocy znanego prawa psychicznego, nie możemy ich postrzegać tak samo, jak nie postrzegamy poruszeń wskazówki zegarka. Ale zauważyć można, iż w takim razie powinnibyśmy przynajmniej oceniać ostateczny rezultat stopniowych przemian naszej osoby i tracić wtedy poczucie jej ciągłości np. gdy porównywamy siebie z okresów dzieciństwa i młodości. Tak byłoby w samej rzeczy, gdyby nie wzmiankowana wyżej przyczyna, mianowicie, iż przez ciąg całego życia, przy normalnym jego biegu, przewija się jedna wspólna nić podstawowego, z konstytucyą naszą ściśle związanego, ogólnego nastroju, który, jakkolwiek rozmaite przybierać może sposoby objawiania się w różnych położeniach, zawsze przy wstecznem poglądaniu w przeszłość przedstawia się nam jako zgodny z samym sobą i przez to utrzymuje poczucie jedności naszego bytu. Głównie zaś — i to jest właśnie drugi czynnik, podtrzymujący jedność indywidualnego bytu — gdyby nie ta okoliczność, iż przy najgłębszych przewrotach, jakie we wnętrzu istoty moralnej zachodzić mogą, zachowujemy w świecie wciąż jedno i to samo *miejsce* czyli *stosunek* do otoczenia, przedmiotów i ludzi, a miejsce to określa się mianowicie położeniem naszem rodzinnem, społecznem, towarzyskiem, majątkowem itp.. Na tej to zasadzie *stosunkowego położenia* rozpatrujemy głównie tożsamość i innych ludzi, których nie pamiętamy z twarzy, ani charakteru i za sprawdzian wtedy służy nam tylko nazwisko, tytuł, godność itp., czyli właśnie stosunek do otoczenia. Niemniej o tożsamości wielu przedmiotów martwych wnioskujemy tylko z ich względnego położenia, co, rozumie się, często w błąd może wprowadzać. Tak np. gdyby ktoś, wyjechawszy z Warszawy przed pożarem teatru, znikąd nic słysząc o katastrofie, wrócił już po jego odbudowaniu w pierwotnem miejscu i postaci, uznałby go za zupełnie ten sam, który zostawił wyjeżdżając; i odwrotnie nie poznalibyśmy zwykłej kamienicy, gdyby naokoło niej przebudowano i zmieniono wszystkie domy i ulice. Wprawdzie zdawaćby się mogło odnośnie do człowieka, iż stosunek jego do otoczenia zmniejsza się stopniowo, że zatem nie może służyć za zewnętrzny probierz tożsamości: dzisiejszy minister był może przed pięćdziesięciu laty drobnym negocyantem. Lecz na to zauważyć trzeba, że jeśli się zmienia stosunek do świata, to tylko pod jednym lub niektórymi względami. pod innymi zaś pozostaje stałym i te to ostatnie służą za ogniwo, wiążące odmienne epoki życia: ze zmianą położenia towarzyskiego lub majątkowego, utrzymujemy się w tem samem położeniu rodzinnem itp.; wogóle nie zmienia się nigdy stosunek w całości, lecz tylko w częściach. Życie nasze rozwija się w kilku równoległych, współczesnych szeregach zjawisk; ciągnąca się faza jednego szeregu zachodzi na dwie odmienne fazy drugiego i tym sposobem utrzymuje ogólną spójność. Taką to tożsamość względną, tożsamość stosunku, a nie rzeczy, przyjmujemy w życiu prawno-społecznem: człowiek uważa się tu za rodzaj nieruchomości, która zmieniać może swych posiadaczów, ale która sama przez się stanowi stałą jednostkę prawno-ekonomiczną. Tam tylko, gdzie idzie o odpowiedzialność osobistą, prawo domniemywa tożsamość i wewnętrznej istoty, ale bynajmniej nie przyjmuje jej, jako konieczną; owszem, ilekroć dowiedzioną zostanie nietożsamość i przemiana osoby, prawo uwalnia od odpowiedzialności a dowodem tego jest każdy wyrok złagodzony wskutek t. z. niepoczytalności, niepoczytalność bowiem nic innego nie znaczy, jak to, iż osoba w chwili popełnienia przestępstwa była moralnie inną, niż jest teraz i zwykle. Co więcej, prawo przypuszcza przemienność osoby i w normalnym biegu rzeczy, co się właśnie wyraża w instytucyi przedawnienia karnego; jednym z jej motywów jest niewątpliwie wzgląd, iż nie można karać obecnego człowieka za to, czem był przed laty kilku lub kilkunastu.

O tem, iż wymienione okoliczności, mianowicie powolność zachodzącej u nas przemiany i w pewnych granicach jednostajny stosunek do otoczenia, są istotnymi czynnikami poczucia jedności naszego „ja,“ przekonywamy się nietylko drogą analizy, jak wyżej, ale i doświadczalnie. a doświadczenie, niemożliwe tym razem dla nas, wykonywa sama natura w wypadkach, w których przy braku jednego z owych czynników znika zarazem i poczucie osobistej tożsamości. Jak w stosunkach z innymi ludźmi nie mylimy się co do ich osoby, pomimo zachodzących w nich przemian, jeśli one odbywają się w naszych oczach i stopniowo, ale nie poznajemy osób zmienionych po dłuższem niewidzeniu, tak samo i odnośnie do naszego własnego ciała: człowiek, który po długiej i wyczerpującej chorobie po raz pierwszy ogląda twarz swoją w zwierciedle, mówi, że „nie poznaje sam siebie.“ Wszakże tu ciągłość osoby nie zrywa się, gdyż utrzymują ją inne ogniwa. Ale weźmy wypadki psycho-patologiczne. Nagłe i głębokie przewroty w stanie konstytucyonalnym organizmu powodują jakby rozpadnięcie się osoby moralnej na dwie części, które występują kolejno bez żadnego wspólnego ogniwa między sobą. Tutaj należy znany, cytowany przez Maenisha fakt amerykańskiej damy, która znaczną część życia przebyła ze zdwojoną świadomością „ja;“ w każdej fazie żyła w odrębnem zupełnie kole wyobrażeń, uczuć i dążności. Wymowniejszymi jeszcze są przykłady obłąkanych, którzy wskutek radykalnych, nieznanych nam bliżej zaburzeń czucia ogólnego tracą zupełnie poczucie ciągłości swego bytu. Zrazu chory czuje w sobie jednocześnie dwie osoby i sądzi. iż „ja“ jego prawdziwe podpadło pod obcą jakąś władzę, iż został opętany. Na wyższym stopniu monomanii nowe „ja“ bierze zupełną przewagę a o dawnej swej istocie mówi chory, iż to nie był „on,“ uważa ją za sen, któremu nie odpowiada żadna rzeczywistość. Stosownie do rodzaju zmian, jakie zaszły w czuciu organicznem, uważa się chory za drzewo, kamień, robaka, króla itp. W demencyi wreszcie bywają wypadki, iż znika nietylko wszelkie wspomnienie dawnego „ja,“ lecz zrywa się wogóle ciągłość bytu moralnego, człowiek żyje tylko chwilą obecną, czyli nie ma zgoła żadnego poczucia swej tożsamości. Podobnie podczas nagłej i zupełnej zmiany w otoczeniu: człowiek chwilowo wątpić zaczyna o swej tożsamości, jeśli zaś nie dochodzi do całkowitego zaprzeczenia swego dawnego „ja,“ to dla tego tylko, iż życie zazwyczaj drobne przynajmniej jego ślady pozostawia; lecz złudzenie, choć krótko trwające, świadczy o względnej i od ubocznych czynników zależnej naturze poczucia swego „ja.“

Widzimy więc, iż mniemana jedność świadomości jest przesądną chimerą, wylęgłą z grubej, ludowej obserwacyi a w psychologii pielęgnowaną przez nieuctwo; przy bliższej analizie i rozpoznaniu faktów rozwiewa się ze szczętem i za dowód substancyalnego i odrębnego istnienia duszy służyć nie może. Z obaleniem argumentu jedności „ja“ upada i twierdzenie o substancyalnym bycie duszy, a zatem i główna teza, broniona przez autora, *użytymi przezeń środkami* dowiedzioną być nie może. Co nie jest bytem, lecz tylko szeregiem i warunkową kombinacyą zjawisk, to przy obecności warunków — może istnieć, przy ich braku — musi przestać istnieć. Wobec tego zbytecznem jest wchodzić w rozbiór dalszych wywodów autora: przyjęcie ich lub odrzucenie zależy od przyjęcia jego poglądu na siłę żywotną i świadomość, albo tego, któryśmy wyżej pobieżnie wyłożyli. Temu, kto przyjmie ostatni, rozprawianie o tem, że dusza po śmierci związaną będąc z jednym atomem, zatem bez żadnych organów, zachowa jednak wszystkie swe zdolności, zaciekanie się, czy czas od zgonu do sądu ostatecznego dusza przebędzie w stanie świadomym, czy bezwiednym, takie i tym podobne kwestye wydać się mogą dość interesującymi zabytkami scholastycyzmu, ale na naukowe traktowanie wcale niezasługują.

Wogóle o książce p. Dęb. powiedzieć można, iż wartość jej naukowa jest żadną: autor nie posiada ani dobrej metody, ani dostatecznej znajomości faktów. Nierównie jednak wyżej stoi ona jako utwór literacki: z tego punktu widzenia zaleca się powabnym sposobem przedstawienia, stylem jędrnym, często obrazowym, tchnie sympatycznym zapałem i werwą. Wszyscy, którzy wierzą, przeczytać ją mogą z przyjemnością i pożytkiem dla umocnienia dobroczynnej swej wiary.

J. W. D.

KALEJDOSKOP ARTYSTYCZNY.

Zgoda i niezgoda krytyki z opinią. — Co tłum lubi. — Pp. Krzesz., Popiel, Żmurko. — Portrety Rodakowskiego. — *Kardynał.* — *Na łożu śmierci* J. Malczewskiego.

Któryś z francuskich dowcipnisiów powiedział, że „artyści to są ludzie, którzy w dzień śpią, a w nocy nic nie robią.“ Być może, iż artyści nasi sypiają w nocy; aby jednak w dzień zapracowywać się mieli, tego nie widać ani z ruchu ogólnego w naszem życiu artystycznem, ani też z wartości utworów naszej sztuki. Nie czuć tu potrzeby produkowania wiele, ani konieczności robienia dobrze. Co więcej nawet: praca i umiejętność nie mają uznania. Przed kilku laty na dziesięciu krytyków muzycznych, ośmiu przynajmniej zarzucało Żeleńskiemu, że za dużo ma nauki, ażeby mógł swoimi utworami przemawiać do serca, a dziś jeszcze dziewięciu sprawozdawców malarskich na dziesięciu milczy lub z lekceważeniem się odzywa o obrazach, których treść nie daje dostatecznego materyału do napisania — fejletonu, chociażby to były arcydzieła koloru, rysunku, modelacyi, charakteru lub typowości.

W krajach, gdzie krytyka jest specyalnością, wymagającą pewnego przygotowania w patrzeniu i wydawaniu sądów, opinia publiczna bywa bardzo często w zupełnej z nią sprzeczności. U nas tymczasem, pomiędzy ogółem a krytykami sztuki panuje najidealniejsza harmonia. Gust tych panów, piszących jedynie o treści obrazów, w niczem nie jest wyższy od gustu tłumu

który — jak mówią bracia Goncourt — „nie lubi ani prawdy, ani piękna, ani prostoty, tylko legendę i szarlatana,“ ponieważ to więcej budzi ciekawości, więcej bawi. Lada więc bazgrała, ilustrujący jakiś ustęp z Homera, którego nigdy nie czytał, z kroniki, której nigdy w ręku nie miał, lub z poematu nowoczesnego, którego ducha nie rozumie, większym cieszy się rozgłosem, aniżeli malarz utalentowany, rozumiejący i szanujący swoją sztukę.

Można się założyć, że o jednym obrazku pana Krzesza, przedstawiającym „Husarza“ na kucyku wypchanym słomą i z kopią w ręku, która wychodzi z nogi, jak gdyby tam korzenie miała zapuszczone, więcej napisano fejletonów, aniżeli o wszystkich razem obrazach obu braci Gierymskich, ponieważ z powodu tamtego można było rozwodzić się szeroko nad znaczeniem rycerstwa w Polsce, a przy tych trzeba było pisać o malarstwie i malowniczości, co nie jest rzeczą łatwą. Lecz jeżeli pan Krzesz, który zachodzącemu słońcu każe oświetlać konia czerwonym refleksem z dołu, a husarza zielonawym z góry, nie zajmuje w kronikach naszej sztuki więcej miejsca, aniżeli bracia Gierymscy, którzy piękno i prawdę natury przenoszą, każdy na swój sposób, ze swego punktu widzenia, wprost z natury na płótno — to niezawodnie o panu Żmurce, którego obrazy kolorem, rysunkiem i kompozycyą przypominają malowanki na tekturowych pudełkach stearynowych zapałek włoskich, albo o panu Popielu, który, naśladując p. Żmurkę, o tyle jest w swoich kolorowanych płótnach biblijnym treścią, o ile *Piękna Helena* Offenbacha klasycznie grecką, a nawet o panu Picardzie, który, nie przyswoiwszy sobie zalet genialnego Matejki, podrabia jego wady, więcej nahałasowano w dziennikach, aniżeli o Rodakowskim, który wystawiwszy portret w Salonie paryskim, dostał Medal Honorowy, pierwszy, jaki kiedykolwiek portreciście udzielono! A jednak od owego czasu dwóch tylko malarzów francuskich: Bonnat i Carolus Duran, dostąpiło tego zaszczytu, i to jeszcze nie z tą jednomyślnością głosów, co Rodakowski. Ale bo też trudno dziś o takiego malarza w Europie, którego portrety można by było postawić obok portretu matki Rodakowskiego, nieboszczyka Kaplińskiego, a nawet *Kardynała*, wystawionego obecnie w salonach pana Krywulta.

Być może, że Bonnat, wsławiony głównie portretem Thiersa, nie ustępuje Rodakowskiemu w sumienności modelowania, w skończoności rysunku, w malowaniu wyrafinowanem szczegółów twarzy, a Carolus Duran w szerokości pędzla, w barwności dekoratywnej obrazu; ale jakże pierwszy jest przy nim suchy, a drugi płaski!

Kardynał, co prawda, nie należy do najlepszych portretów Rodakowskiego, którego inne prace mogłyby śmiało zająć miejsce obok Dürera w muzeach, gdyby wróciły jeszcze te czasy, kiedy w malarzu ceniono malarza, nie zaś literata, archeologa, historyozofa lub socyologa, kiedy pytano się: jak artysta maluje? nie zaś: co maluje? Pomimo to jednak, jeżeli Dürera, niezależnie od tego, że był tylko portrecistą, nazywamy dziś mistrzem, gdyż odległość epoki na ten wyraz pozwala, to o Rodakowskim, który jest równie skończonym w rysowaniu i równie wykwintnym w malowaniu, jak Dürer, należałoby mówić i pisać więcej, niż o panu Koniuszce, który brudne rozrobienie farb *asfaltem* na monachijski ład uważa za jedyny środek wydostania tonu z obrazu, lub o panu Tytusie Maleszewskim, którego portrety i obrazki rodzajowe (zwłaszcza ostatni p. t. *Skończony rozdział*), przypominają malowanki na talerzykach deserowych z owych czasów ogólnego obniżenia się poziomu artystycznego, kiedy to podawanie owoców na porcelanach, kolorowanych bez żadnego gustu, było w modzie.

Kardynał tymczasem jest arcydziełem „prawdy, piękna i prostoty,“ i nietylko śród „legend naszych szarlatanów,“ ale nawet w porównaniu z utworami najznakomitszych artystów całego świata. Jego głowa, narysowana z przedziwnem skończeniem, nie ma nic z owej suchości, która jest zwykłem następstwem rysunku drobiazgowego. Czuć tu rękę mistrza, który naznaczając szczegóły, ani na chwilę nie przestał myśleć o całości i o jej charakterze ogólnym. Stąd jego portret zarówno daleki od niedbałego uogólniania, jak i od pretensyonalnego wyszukania linij. Szkoda tylko, że artysta za mało wyraził ruchu w układzie ust, wskutek czego *kardynał*, występujący w roli kaznodziei na ambonie, chociaż ma usta otwarte — nie mówi, i to cokolwiek osłabia wrażenie tego życia, jakie tam tchnie z każdej innej jego kreski. A to życie, dodać trzeba coprędzej, ujawnia się nietylko w narysowaniu głowy i szczegółów twarzy, ale także i w modelowaniu tak wypukłem, że z płótna wychodzi bryła, której oniemal chciałoby się dotknąć rękami. W kolorze różowym twarzy, pokrytej zmarszczkami, czuć różowość blondyna, który, przy zupełnej nawet siwiznie włosów, nie traci nigdy charakteru barwy właściwej blondynom, i to właśnie artysta umiał niezmiernie silnie zaakcentować. Jego *Kardynał* nie jest siwym ogólnie, ale tak, jak tylko blondyni być mogą. A przytem patrzy oczami żywemi, oczami, których wilgoć przesłonięta zielonawym refleksem światła mieni się jak w naturze, oczami, które posiadają wyraz i blask, jak u człowieka mającego ciało i duszę. Lecz to mistrzowstwo szczegółów w niczem nie zaćmiewa ani prawdy, ani piękna całości. Naprzód widzimy tam człowieka, a potem dopiero jego nos, jego czoło, jego włosy, jego oczy, tak jak w rzeczywistości, tak jakby zawsze powinno być w obrazach, gdyby artyści, na wzór Rodakowskiego i wszystkich wielkich mistrzów, obserwowali naturę i na niej swoją technikę kształcili. A to pozwoliłoby im, pominąwszy już inne zalety, być kolorystami, jak Rodakowski, różowymi w tonie przy malowaniu blondynów różowych, brunatnymi przy malowaniu śniadych modelów, niebieskawymi przy brunetach, nie zaś wiecznie różowymi, wiecznie brunatnymi, wiecznie (nie robiąc aluzyi do p. Horowitza) brudnawo-niebieskimi — niezależnie od tonu modela, jakiego mają przenieść na płótno, niezależnie od oświetlenia, niezależnie od refleksów, jakie od bliższych lub dalszych przedmiotów na niego padają.

Z tem wszystkiem, tacy artyści, jak Rodakowski, nie mają u nas ani znaczenia, ani wpływu. I łatwiej w naszej sztuce dopatrzeć by się nam było śladów szkoły p. Sypniewskiego, którego blaszani rycerze na drewnianych konikach wciąż świecą blaskiem werniksu na ścianach wystawy Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, aniżeli „człowieka, który — jak się wyraził jeden ze znakomitych naszych malarzy—„uprawia sztukę tak porządną i tak trudną, że jego drogą nikt chyba nie pójdzie.“

Za to entuzyazmujemy się obrazem p. Jacka Malczewskiego, zatytułowanym: *Na łożu śmierci*, a reklamowanym przez prasę, jako ilustracya Anhellego, chociaż tam nie ma ani „pustej chaty wykutej w lodzie,“ ani „renów, które wyciągają mech z pod pościeli Ellenai i skubią łoże śmierci, jedząc,“ ani „róży, która na znak cudu upadła żywa na białe piersi umarłej i leżała na nich,“ ani krwawego refleksu od „szyby lodu słońcem czerwonej, z dwoma skrzydłami promieni,“ ani człowieka „w białej szacie, czystego jak lilija, biorąca z wody liście i kolory niewinne,“ którego nasi krytycy dopatrują się w śniadym mężczyznie, w kożuchu baranim i ogromnych, juchtowych butach. Wprawdzie człowiek ten, „usiadłszy—jak w Anhellim Słowackiego—na końcu łoża, płacze, nie śmiejąc ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte.“ Ale czy to, że ten człowiek „siedzi na końcu łoża i płacze,“ jest już racyą do szumnego tytułu dla obrazu? Można doskonale „nie śmieć ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte,“ nie będąc zupełnie Anhellim. Jeżeliby to jednak miał już koniecznie być Anhelli, to nie należało go przynajmniej robić rybakiem, skoro Słowacki wyraźnie kazał mu „żyć mlekiem renów,“ nie zaś wiosłować i zapuszczać sieci, które malarz rozwiesił na ścianie. A przytem obraz nie tłomaczy się jasno. Na pierwszy rzut oka widać tam skórę z lisów, okrywającą nogi umarłej i pieniek brzozy, służący za nogę od łóżka, potem ścianę z desek nieheblowanych, wybitą miejscami rogożą, z boku szafik, na przodzie jakąś beczkę a w niej niedopaloną świecę łojową, w górze obrazek Matki Boskiej, pewnie Częstochowskiej, a później dopiero ciało kobiety leżącej na tapczanie i postać człowieka, który dopiero co przestał płakać albo dopiero zacznie.

Pominąwszy kompozycyę samych figur, jednej leżącej a drugiej siedzącej na łóżku, pomyślaną przez Simlera (*Zygmunt i Barbara*), w obrazie panuje taki chaos szczegółów, jak gdyby ich tam istotnie było bez liku. Wszystko się tu miesza tak bezładnie, że nie wiadomo, o co właściwie chodziło artyście: o lisiurę, czy o kobietę, o lniano-złote włosy, czy o jej głowę, o mężczyznę, czy o kożuch, o obrazek Matki Boskiej u góry, czy o szafik na dole? Na nic tu niema miejsca, nic w głąb nie wchodzi, nic z głębi się nie wyłania, tak że na tem brunatnem płótnie, płaskiem jak ściana jednym kolorem pociągnięta, niema wcale obrazu, nie mówiąc już o jakimś dramacie realnym, czy fantastycznym.

Wprawdzie p. Malczewski w innym obrazku, zatytułowanym: *Ciupasem*, pokazał się wybornym obserwatorem typów, bystrym psychologiem, umiejącym poznać duszę ludzką po wyrazie twarzy, i subtelnym rysownikiem, który kilkoma pociągnięciami ołówka doskonale naznacza charakter człowieka; żadnej jednak z tych zalet dopatrzyć się niepodobna w jego ostatnim obrazie, skomponowanym dla tytułu, nie zaś dla przedmiotów i ludzi, którzy się w nim znajdują.

Twarz tak zwanego Anhellego ma wprawdzie pewną tęgość w rysach i wyraz jakiejś boleści bez grymasu, co jej nadaje charakter męskości; ale już głowa nie jest namalowana wcale: nie czuć w niej bryły, którąby upoważniała do wprowadzenia w obraz wielkich juchtowych butów. A przecież, jeżeli p. Malczewski istotnie „nie abdykuje z duchowej strony artyzmu na rzecz grubego materyalizmu,“ jak wmawia w niego jeden z jego panegirystów, to już chyba prędzej należało namalować realnie głowę temu Anhellemu-rybakowi, aniżeli kożuch i juchtowe buty, aniżeli szyję grubszą od głowy, a nawet tak grubą, że Anhelli wygląda, jak gdyby cierpiał na *wole*. „Przecudne choć wiotkie, nikłe i mgliste kontury, jakie poeta zdołał nadać idealnie pięknej Ellenai,“ pod pędzlem p. Malczewskiego zamieniły się w jakieś linie grymaśnie pokręcone, niezdecydowane, mającące i tak dalece niewyrażające kształtów ciała, że to ciało możnaby z łatwością wziąść za długi wałek zmiętoszonego muszlinu, gdyby ręce wcale przyzwoicie narysowane i długie włosy, „na które — jak inny panegirysta p. Malczewskiego mówi—powinniśmy się zgodzić, ponieważ przyjmujemy(?) czerwone włosy Makarta,“ nie zdradziły obecności kobiety *Na łożu śmierci*.

A przytem, oprócz pniaka brzozy, który wyrywa się aż zanadto z obrazu, pozując wraz z lisią skórą na bohatera dramatu wszystko tu płaskie, jak cienie chiń-

skie. Że to jest jednym z największych błędów w obrazach realnych, o tem mówić nie potrzeba: ażeby jednak płaskość w malowaniu miało być zaletą obrazów idealnych — w to uwierzyć trudno. U p. Malczewskiego tymczasem wszystko leży na płótnie, jak te figurki wycinane z papieru, które dzieci chłopskie przylepiają na ścianie. Zauważyć przytem trzeba, że jakkolwiek Anhelli nie odstaje od ściany, nie przeszkodziło to jednak p. Malczewskiemu namalować cień tak mocny i długi, jak gdyby głowa była znacznie od niej oddaloną. A cień to czarny, tajemniczy, głęboki w kolorze, jak od światła księżyca, kiedy tymczasem, jeżeli nie postać idealnej Ellenai, to przynajmniej jej włosy kąpią się w jasnem świetle dnia, dnia pracownianego wprawdzie, ale zawsze dnia, który na cienie głębokie tylko artystom, nierachującym się z „grubem materyalizmem," pozwala. Na szczęście, p. Malczewski od góry do dołu zamalował płótno brunatnym kolorem czekolady gotowanej na wodzie, bez najmniejszego uwzględnienia różnicy barw miejscowych, jak to się zdarza artystom, którzy nie wiedzą, że inna jest wartość brunatnej barwy na ogorzałej twarzy a inna na kożuchu baranim, wiośle lub szafliku, wskutek czego płaskość jego obrazu wtenczas dopiero razi strasznie, kiedy staniemy zdaleka i chcemy okiem objąć całość. Szkoda tylko dla niego, że na obraz zdaleka patrzeć trzeba, gdyż malowany szeroko, z dużym zamachem, dekoracyjnie, od patrzenia zbliska, tak niekorzystnego dla szczegółów, uwalnia, a do patrzenia zdaleka, tak nieszczęśliwego dla ogółu i całości, zmusza.

Pomimo to obraz p. Malczewskiego robi furorę. Należałoby przynajmniej usunąć z wystawy *Kardynała* Rodakowskiego. Obaj artyści by na tem zyskali.

Antoni Sygietyński.

LIBERUM VETO.

Wspólny gust rozumu i dzikiej żądzy. — Jedna uratowana książka. — Ja z Millem na wyspie. — Rektor Maassen. — Bambus i rózga, więzienie i kocia muzyka. — Ofiara dyabłu ze swobody.—Wszystko jedno.— *Marya* Malczewskiego i prezes słodkiego interesu. — Nagła śmierć murzyna. — 30 nocy z rzędu. — Potrzeba stworzenia nowych ludzi, wynalezienia nowych maszyn lub praw.—Utrudnianie w zdobyciu serc.—Skarga w imieniu Modrzejewskiej.

„Swobody! — woła rozum. Swobody! — woła dzika żądza." W latach młodzieńczych myślałem nieraz: gdyby nowy Omar zamierzył spalić literaturę świata i pozwolił mi zachować z niej jedną tylko książkę, wybrałbym — rozprawę Milla *O wolności.* Dziś... może bym zrobił ten sam wybór, ale poprosiłbym Omara, ażeby mnie osadził na bezludnej wyspie. Tam z zacnym myślicielem angielskim marzylibyśmy sobie o idealnym stanie społeczeństwa, w którym wszyscy robią, co im się podoba i nikt niema prawa aresztować taczającego się po ulicy pijaka. Ale gdyby do naszej samotności przybyło dziesięciu ucywilizowanych i do konstytucyonalizmu nawykłych studentów niemieckich, niezawodnie powiedziałbym: uciekajmy stąd Millu albo zapomnijmy o twojej nauce, według której sama wolność stwarza dla ludzi raj na ziemi! Niestety — jak śpiewa Schiller — o swobodę dopomina się nietylko rozum, ale i dzika żądza. Co zawinił rektor uniwersytetu wiedeńskiego Maassen, że mu studenci od pięciu miesięcy wyprawiają kocią muzykę? Co zawinił człowiek, którego najwrażliwiej odczuwająca wielkie idee młodzież tak zawzięcie znieważa, że aż ściągnęła na siebie ostrą naganę ze strony przeciwników? Co? Powiedział w sejmie dolno-niemieckim, że czesi mają prawo założyć własną... szkołę. Tak jest! Za to niech będzie przeklęty ustami, z których zwykły wychodzić hasła wolności. Zapewne, w bólu istnieje różnica między uderzeniami bambusem a rózgą, ale w zasadzie oba sposoby są biciem. Nie przeczę, iż wolałbym wysłuchać krzyków studenckich za przyznanie uciśnionemu narodowi swojskiej szkoły, niż odpokutować tę zbrodnię w więzieniu; ale na litość nie mówcie mi, że wysykany i wygwizdany byłbym swobodnym. Przypomina mi to bowiem owego anglika, który udusił swego przyjaciela za to, że ten nie podzielał z nim bezwarunkowej czci dla Szekspira. Taka tam wolność, jaka tu przyjaźń! Maćka lub Fritza krępuje tylko koza, bambus lub rózga, ale dla Maassena wystarczą dzikie tupania i hałasy. Jeżeli zaś rektorowi uniwersytetu, bez narażenia się na obelgi, nie wolno wypowiedzieć publicznie swego przekonania, to niech dyabeł sobie weźmie na pamiątkę głupoty ludzkiej taką konstytucyę, swobodę słowa i tym podobne cacka z dziurkami. „Wolnym być chcę — mówi Goethe — w myśli i pieśni, bo w czynie świat nas dosyć ogranicza." Rzeczywiście jest to jedyna sfera, w której panuje istotna swoboda. Życie daje nam zaledwie jej strzępy, których więcej przywłaszcza sobie „dzika żądza" niż, „rozum." W marzeniach i tęsknotach zapalamy się do rozmaitych ustrojów społecznych, ale gdy te ideały objawią się nam wyraźniej, uczuwamy do nich odrazę i mówimy sobie: wszystko jedno—bambus czy kocia muzyka!

Nie dziwcie się temu pesymizmowi, bo on ssie gorycz z tysiąca wypadków. Czy wiecie, za co np. w państwie konstytucyi i swobody idzie się do kozy? Jakaś pobożna niewiasta w Poznaniu ofiarowała na ołtarz do kościoła obrus, na którym wyszyła wiersz modlitwy. Policya mocarstwa, osłoniętego milionową armią, dostrzegła w tem wyszyciu niebezpieczny zamach i oskarżyła biedną kobietę o przestępstwo stanu. Sąd skazał ofiarodawczynię i księdza na kilka miesięcy więzienia. Że policya narodu, szczycącego się swobodą słowa, konfiskuje druki zakazane i listy do osób podejrzanych, to jeszcze rozumiem; ale żeby państwo chrześciańskie kładło areszt na modły przesyłane do Boga i nie pozwalało mu wysłuchać życzeń ludzkich — tego nie pojmuję. To jest, panie Sacher - Masoch, dziwnem nawet dla nas — z „Halb-Asien" tak, jak niewątpliwie wstrętnem dla naszych „pół-azyatyckich" studentów jest liberalizm burszów wiedeńskich.

Ale... do domu! Właśnie przeglądałem *Maryę* Malczewskiego w prześlicznem, małem wydaniu z fotografiami podług rysunków Andriolego, gdy naraz z kilku pism doleciał mnie krzyk: „Ej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz..." panie prezesie Towarzystwa fabryk cukru! Krzyk ten wywołała nagła śmierć ze zbytniej pracy jednego z urzędników owej instytucyi, L. Fiedlera. Często przechodząc wieczorem koło jej biura i widząc w oknach pałące się światła a przy stolikach pochylone głowy, usiłowałem zgadnąć, czem ci ludzie są zajęci o tak późnej porze? Wyjaśnił mi to ktoś wtajemniczony:

— Do trzeciej po południu pracują, ażeby zarobił ich prezes, a od trzeciej, ażeby nie zarobił nikt. Taka tam zasada.

— Muszą być szczególnie wynagrodzeni?

— Naturalnie, za pracę nocną mają darmo — naftę, a w święta, gdy inne biura z tego gmachu odpoczywają — więcej świeżego powietrza. Czy to nie dosyć?

Widocznie, że nie, bo biedny Fiedler padł pod tem brzemieniem w 37 roku życia. „Noc—opowiada *Kuryer Warszawski* — w której go śmierć zaskoczyła była *30 z rzędu*, poświęconą robocie biurowej." Bóg nie przewidział, że plantatorowie żądać będą takiej wytrzymałości od ciała niewolników, bo byłby niezawodnie je stworzył z mocniejszej gliny. Jeżeli Fiedler, nawykły do trudów żołnierz, który przebył kampanię francusko-pruską, nie mógł udźwignąć ciężaru obowiązków w Towarzystwie fabryk cukru, to widocznie dla tej instytucyi albo trzeba stworzyć ludzi z innego materyału, albo ich zastąpić maszynami rachującemi bez ustanku w dzień, w nocy i święto. Innego wyjścia niema, bo pozostali murzyni także pewnie niedługo padną a prezes słodkiego interesu musi otrzymać nie 40, ale 100,000 rs. dywidendy. To jest konieczne. Ale, ale: czy by nie było skutecznem, na wzór zamierzonego prawa fabrycznego, ułożyć ustawę dla biur prywatnych, którąby nie zabroniła umierać w 37 roku życia z nadmiernej pracy, ale przynajmniej nie pozwoliłaby różnym prezesom i dyrektorom trzymać przy niej oficyalistów „30 nocy z rzędu," a wzburzonych świadków nagłej śmierci towarzysza wzywać do składania raportów o 9 wieczorem — w niedzielę. „Człowiek tem się różni od zwierzęcia — mawiał do nas na rekolekcyach gimnazyalnych ks. Albin — że ma wolną wolę." Swoboda śród zniewag — przyjaźń dusząca — wolna wola zabijającej pracy dla chleba — trzy urocze gracye! Fiedler mógł porzucić swe miejsce, jeśli ono go zbyt wycieńczało, a kruk z nieba zesłany byłby niewątpliwie jemu i jego rodzinie przynosił żywność.

Co najmniej od lat dwu pisma polskie, poświęcone obserwowaniu „gwiazd" teatralnych, składają sabeistyczne hołdy pani Modrzejewskiej. Wiemy od nich zawsze nietylko, gdzie artystka bawi i co gra, ale nawet, jakimi pociągami jeździ, i kto ją odwiedza. Wątpię o jej tryumfach zagranicznych nikt się nie odważył. I w chwili, gdy wiara w nie stała się powszechną, występuje *Kuryer Lwowski*, a za nim *Warszawski* z naganą dla... sceptyków. „Zdobyła sobie rozgłos, uznanie i opinię znawców zamorskich, dlaczegożby też *utrudniać* jej *podbicie* serc rodaków." Podbicie? Panowie, jesteście ofiarą jakiegoś nieporozumienia lub własnej niepamięci. P. Modrzejewskiej nikt nie „utrudniał" przystępu do serc „rodaków," a „podbijać" ich nie potrzebowała, bo one były podbite zupełnie jeszcze — przed jej wyjazdem do Ameryki. Ile zapału czterykroćstotysięczna ludność Warszawy dla niej wylać mogła, tyle wylała. Więcej niepodobna, chociażby nawet artystka przybyła do nas z wieńcami, uwitymi przez „znawców zamorskich." Albo to wreszcie prawda, że jej tak bardzo chodzi o „serca rodaków?" Gdyby tak było, nie opuszczałaby Warszawy, gdzie ją wielbiono do bałwochwalstwa, i nie wyjeżdżała za granicę, gdzie, jak upewniają jej biografowie, znosić musiała niedostatek. A może to znowu miłość podobna do przyjaźni owego anglika, który się pomścił za Szekspira? Szczególną postać, doprawdy, przybierają czasem te uczucia! Pani Modrzejewska, wiedząc doskonale, że przez usunięcie się wyrywa jedną z najgłówniejszych kolumn naszego teatru, lubiana, ubóstwiana, hojnie opłacana, jedzie do Anglii i Ameryki, bez przyczyny i potrzeby, nawet bez nadziei zyskania większej sławy, i potem przez swych obrońców skarży się na trudności w „zdobyciu serc rodaków." Szanowna artystka z nas sobie żartuje. Pragnie ona chyba, ażebyśmy ją równie czcili po powrocie, jak przed wyjazdem, ale to jest niemożliwem. Wtedy była ona ozdobą naszej sceny, pracowała dla nas, błyszczała świeżym talentem; dziś zdobi się zasługami u obcych, polską scenę lekceważy, a muza jej... Niech i muzy, narowni z wszystkiemi kobietami, mają prawo do dyskrecyi względem ich wieku.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Nowa kometa i świetny jej ogon. — Sztuki piękne i sztuki pedagogiczne. — Ksiądz i uriadnik jako filary hygieny społecznej. — Przedajny sędzia i honor. — Rzezimieszek w kościele. — Egzorcyzmy duchowne i świeckie. — Cywilizacya nasza i końska. — Doraźny wyrok i węzeł gordyjski.

Na dalekich widnokręgach naszego rolnictwa i przemysłu teleskopy dziennikarskie dostrzegły świetną kometę. Zjawi się ona u nas w r. 1885, wraz ze wspaniałym ogonem, w którym zajaśnieją wszystkie nasze Leliwy i Dołęgi. Mówię o przyszłej wystawie przemysłowo-rolniczej. Jakkolwiek dzisiaj blaski jej giną jeszcze w mgławicy projektów i życzeń pobożnych, to jednak nie mogę zamilczeć o tem, o czem nawet *Gazeta Lubelska* szeroko się rozpisała.

„Przemysłowcy nasi—powiada kustosz lubelskiej cywilizacyi—będą mieli obszerne pole do popisów.“ Gdybym był „naszym przemysłowcem,“ gdybym miał w fabryce dyrektora niemca i nadwiślańskich murzynów, cieszyłbym się zawczasu z owego pola; dzisiaj muszę się zadowolić tylko niespodzianką, jaką, według słów gazety, gotuje dla nas ósmy i ostatni dział wystawy, „sztuk pięknych i pedagogicznych“ „Pięknych“ sztuk nam nie zbraknie: widzisz ich czytelniku co tydzień kilka w polu mojej „perspektywy,“ ale, jeżeli niebo łaski swej nie odmówi, to i w dziedzinie pedagogiki pokażemy tyle „sztuk,“ złożymy świadectwo takiej biegłości akrobatycznej, o jakiej w Europie nie śniło się żadnemu rewizorowi szkół rządowych albo prywatnych. Pedagogowie nasi ukażą się stanowczo „jako węże“—nie tylko dla wielkiej roztropności swojej, ale z powodu kształtów języka... Nauczyciele ludu otrzymają dzielną pomoc w osobach niższej i wyższej władzy policyjnej. Kramarze wędrowni, powiada za innemi gazetami *Korespondent Płocki*, roznosiciele książeczek z obrazkami i bezobrazków, zostaną wkrótce poddani ścisłej kontroli policyjnej. U nas w biurach powiatów, a na Litwie u naczelników okręgów (stanowoj pristaw) będą musieli oni przedstawiać odpowiednie świadectwa o nieszkodliwości sprzedawanej przez się „strawy duchowej.“ Oprócz tego na żądanie nawet niższych przedstawicieli policyi, pakunek „dokładnych senników“ i „nieomylnych ścieżek do nieba“ poddanym być może ścisłej rewizyi.

Ze wszystkich środków umysłowej hygieny publicznej najpożądańszym zawsze będzie — strażnik ziemski, kontrolujący przebiegłego handlarza. Gdyby bowiem „żywot świętej Genowefy“ wyczerpywał całą naszą bibliotekę ludową, gdyby rywalizować on musiał tylko ze wspomnianą „ścieżką do nieba“—moglibyśmy spać spokojnie; ale przewrotność ludzka, jak wiadomo z *Przeglądu Katolickiego*, nie ma granic. Ludzie złej woli starają się nieraz „pod pozorem rzekomej nauki“ wpoić w umysły proste wiele „doktryn zgubnych i przewrotnych.“ Otóż te wszystkie „machinacye szatana“ zniszczy niejednokrotnie gorliwość uriadnika. Rzecz prosta, iż pożądanym jest jaknajwyższy stopień oświaty kontrolera. W przeciwnym bowiem razie posłyszymy nieraz taką np. rozmowę.

— Macie tutaj jakieś „Melioracye gruntowe.“

— Co racya, to racya! ja to rozumiem; ale *melio-racya*—nie! Takich rzeczy naszym ludziom czytać nie kazano...

— Ależ, panie tutaj cenzura...

— Cenzura wie swoje, a my swoje, my także cenzura.

Pocieszać się jednak należy, iż władza znajdzie moralniejszych wykonawców swej woli.

Dość już o „sztukach pedagogicznych“— przechodzę do „pięknych.“

Jedną z najpiękniejszych wyprowadził przed sąd płockiej publiczności sierpecki współpracownik *Korespondenta*. Jest nią jakiś „powszechnie szanowany“ obywatel który, mając zasiadać w pewnym sądzie polubownym, od obu stron interesowanych wziął „honorarium.“ Cenimy niezmiernie wysoko wszystko, co ma jakiś związek z *honorem*, ale tego rodzaju bałwochwalstwo dla jego słów pochodnych bodaj czy nie poraz pierwszy zaznaczyło się w szpaltach naszych dzienników. Najciekawszymi są argumenty, jakich obywatel ów używał w celu przekupienia jeszcze niektórych wpływowych towarzyszy: „i obie strony będą zadowolone i pan będziesz miał *swoje*.“ I tacy to ludzie krzyczą u nas najgłośniej o pogwałcenie przez pozytywizm „najświętszych praw własności!“

Pogwałcił te prawa w sposób rażący jakiś mały, 12-to letni heretyk, terminator szewcki, który w kościele sierpeckim podczas sumy wyciągnął z kieszeni „poważnego szewca“—sakiewkę z pieniędzmi. Sprawa się wykryła i przestępcę wszyscy koledzy odprowadzili tłumnie do księdza proboszcza, prosząc o zaaplikowanie zbolałej duszy odpowiedniego duchowego specyfiku. Nie wiemy, jakie lekarstwo zastosował proboszcz z apteczki katechizmowej, ale do naiwnej prośby malców głos swój dołączył i wspomniany wyżej korespondent. Litując się przedewszystkiem nad położeniem naszych terminatorów, wyraża on nadzieję, iż na te dusze zatracone zbawienny wpływ mogłyby wywrzeć niedzielne nauki katechizmowe... Co do mnie, to w skuteczność takich nauk duchowych wierzę tem chętniej, im pewniejszym jestem, że żaden „poważny szewc“ z sakiewką nie wziąłby w nich udziału. Niewinne duszyczki terminatorskie, jako dokładnie *gołe*, nie mogłyby się przecież okradać w kościele. Z tego jednak nie da się nic dobrego wywróżyć dla kieszeni ich majstrów i czeladników. Chłopiec, któremu się każe i pozwala być człowiekiem tylko raz w tygodniu, np. w niedzielę od godziny 5 do 6 po obiedzie, i który przez cały czas swej pracy o tyle lepiej traktowanym jest od bydlęcia, o ile staje się maszynką do napychania „poważnej“ sakiewki, chłopiec taki nie może być zupełnie uczciwym. Na barki proboszczów, którym do pomocy dajemy lucypera, radzibyśmy włożyć odpowiedzialność za wszystkich wyzyskiwaczy i rabusiów pracy wyrobniczej, za wszelkich przemysłowców o szerokiem i wązkiem „polu do popisów“, ale nie goi się plastrem niedzielnym rany, którą się przez cały tydzień rozmyślnie jątrzyło. Zostawmy księży ich złudzeniom co do egzorcyzmów, a sami zabierzmy się do wypędzenia chochlików, siedzących w warsztacie za plecami majstra, i w fabryce, pod biurkiem pryncypała. Gdyby zwierzęta domowe znały naszą historyę, zapragnęłyby niewątpliwie imponować nam swoją cywilizacyą i postępem. W poglądach stepowego rumaka np. i „falującej z temperamentem“ Fanny jest daleko większa różnica, niż pomiędzy naszą recepturą społeczną dzisiejszą—i z przed lat tysiąca. Chociaż za owych, bądź co bądź, bogobojnych czasów niewolnictwo kwitło lepiej niż dzisiaj, myśmy nie przestali patrzeć na święconą wodę, jak na cudowną lekarkę chorób społecznych. A jednak, przodkowie Fanny przestali już wierzgać, kąsać i nauczyli się „falować“ na torze wyścigowym!...

Z kroniki „doraźnych wyroków“, które stają się coraz częściej wyrazem naszej budzącej się... samopomocy, zanotować tu muszę znowu jeden wypadek. Gajowy lasów „niedrzwickich ostrzem siekiery przeciął pasmo cierpień jakiegoś amatora cudzej własności. Głowa tego biedaka nie warta zapewne więcej, niż wózek skradzionego przezeń opału; dla społeczeństwa jednak pożądanem jest, aby o tej wartości nie wyrokowali samowolnie stróże większej lub mniejszej własności. Domorosły ów Macedończyk ani się domyśla może, jaki zawiły węzeł stosunków społecznych siekierą swoją rozcinał. Rozpłatana głowa złodzieja leśnego jest całym dramatem. Ściera się w nim zakorzenione wśród ludu pojęcie o własności z niedołęztwem społeczeństwa, które na barki najniższych swych przedstawicieli składa odpowiedzialność za błędy ustroju. Faktem jest, iż złodziej leśny ani w oczach własnych, ani w opinii ludności wieśniaczej nie jest uważanym za złodzieja; ale nie ulega też wątpliwości, że dla gajowego sprawa o wózek opału może być pierwszym krokiem do utraty miejsca i chleba. Któż winien pojęciom ludu i kto widmem głodu zniewala gajowych do walki z niemi? Filozof napisze o tem dzieło i węzła nie rozplącze; stróż lasów woli uciec się do siekiery.

Maryan Bohusz.

Mińsk. Z listu bardzo poważnego czytelnika naszego wyjmujemy następujące uwagi: „W nrze 40 *Prawdy* autor fejletonu prowincyonalnego podał doniesienia „przygodnego“ korespondenta o wystawie mińskiej. Nie chcę zgadywać, czy słuszny domysł waszego współpracownika, że odebrane przezeń wieści zrodziła może „niechęć prywatna,“ ale świadczę stanowczo, że „przygodny“ korespondent sumiennym nie był. Naprzód „formalistykę“ rozciągnięto jedynie do takich granic, w jakich była konieczną. Możemy się wszyscy bardzo szanować, a w pewnych wypadkach wymagać od siebie wzajemnie dowodów, chociażby dlatego, ażeby nas „przygodni“ korespondenci nie szarpali. Rzeczywiście w Mińsku nagrodzono owoce z Łowicza, ale wystawca posiada w naszych okolicach majątek i w deklaracyi wyraźnie zastrzegł, skąd pochodzi jego produkt. Zarzut, że przy ocenach „posługiwano się wszystkiemi zmysłami prócz wzroku“ jest zbyt lekkomyślnym, ażeby go zbijać należało; bo czem dowieść korespondentowi, że nietylko zmysły, ale i umysły przy sądzeniu nie spały? Wybrany przezeń przykład nienagrodzenia bydła pewnej właścicielki i przyznania pierwszej nagrody pewnemu „ziemianinowi, którego postęp gospodarczy odbywał się dotychczas w kierunku bankructwa“ — nie jest żadnym argumentem, a jest niesprawiedliwą szykaną. Bo nawet w handlu bankructwo nie zawsze bywa sromotą, a w gospodarstwie, zwłaszcza u nas, najczęściej nie zależy zupełnie od charakteru i uzdolnień rolnika. O tem trzeba pamiętać w każdym wypadku, a w obecnym nie pomijać i tego, że ów „bankrut“ należy do najuczciwszych obywateli. Po co ranić takich, kiedy winnych nie brak? „Zabiegi“ około otrzymania medalu miały—według korespondenta— kosztować niektórych około 1000 rs. Jakie „zabiegi?“ Jeśli wyraz ten nie mieści w sobie potwarzy, to nie zawiera nic.

Ponieważ zastrzegliście, że filipika nie jest waszą, lecz nadesłaną, więc jej szczegółowo nie rozsnuwam. Dla „przygodnego“ korespondenta to krótkie sprostowanie niech wystarczy. *M. J.*

Kijów. W Sądzie Okręgowym rozpatrywaną była sprawa niejakiego Waśkiewicza, księdza prawosławnego, oskarżonego o fałszerstwo. Poprzednio już miał on aż 6 podobnych procesów w sądzie żytomierskim i skazany został na osiedlenie w Syberyi. W szczegóły sprawy wchodzić nie będziemy; nadmienimy tylko, że w mowie swej, obficie ozdobionej cytatami z Pisma św. w rodzaju: nie sądźcie, żebyście nie byli sądzeni itp. zacny pasterz zapewniał, że jest niewinną ofiarą polsko-żydowskiej intrygi. Sąd jednak nie podzielił tego zdania i skazał patryotycznego fałszerza na zesłanie do gub. irkuckiej.

Wyszków. Podczas przeprawy przez Bug prom, nadto obciążony, zatonął. Jeden z miejscowych włościan *siedemnaście* razy rzucał się w nurty rzeki i tyleż osób wyratował. Obecni przytem obywatele ofiarowali szlachetnemu chłopcu 300 rs.; nie przyjął ich jednak i oddał rodzinom tych, których już ocalić nie zdołał.

Służno. We wsi tej, położonej pod Warszawą, kilkunastu robotników sprowadzonych z Cesarstwa, przyszedłszy do karczmy, zmuszali miejscowych włościan do wyjścia, gdy zaś ci oparli się, przyszło do bójki. Włościanom nadbiegli z pomocą sąsiedzi, napastnikom zaś ich towarzysze. W rezultacie mieszkańcy wioski

ulegli przeważającej sile. Napadający pokaleczyli wiele osób, zwłaszcza kobiet, zburzyli karczmę a w chałupach powybijali okna i powyłamywali drzwi. Nawet interwencya żandarma nic nie pomogła, ściągnięto go z konia i pobito. Dopiero przybycie naczelnika straży ziemskiej z policyą położyło koniec walce.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 7 listopada.

Interpelacya radykalistów w sprawie tonkińskiej wzmocniła chwilowo zachwiane stanowisko Ferrego. Niepodobna jednak łudzić się pozornem zwycięstwem — gabinet pozostał, bo w obecnym czasie nie można było go innym zastąpić. Czuł to dobrze główny wódz i mówca opozycyi Clemenceau; to też ograniczył się tylko na moralnej charakterystyce istniejącego systematu rządowego. W imię zasad wielkiej Rewolucyi potępił on politykę zaborczą Francyi, politykę, nieszanującą praw innych narodowości, przyczem pokrewne fakty w historyi innych państw (np. zabranie Bośnii przez Austryę lub Alzacyi przez Prusy) nazwał poprostu: złodziejstwem. Na tę drogę, według zdania, mówcy, wstępuje i Francya, zamiast propagandy wolności ludów, która jest jej obowiązkiem. W rezultacie jednak przyznał, że dziś cofnąć się niepodobna, że wymaga tego honor Francyi (dziwny doprawdy honor nieoddawania cudzej własności). Wobec tego pozostawało izbie tylko — dać wotum zaufania rządowi, co też na wniosek Pawła Berta uczyniła znaczną większością głosów, przyczem okazało się, że nawet kilkudziesięciu radykalnych posłów głosowało za gabinetem. Było to zresztą jedyne wyjście: opozycya radykalna niema widoków dostania się do władzy w obecnych warunkach, a wszelkie inne ministeryum mniej jeszcze będzie wartem od dziś istniejącego. W każdym razie lepszy przecie Ferry od niedołężnego Freycineta.

Widnokrąg polityczny w Bulgaryi rozjaśnia się powoli. Książę Aleksander ochłódł w zapale, przekonawszy się, że ani w Wiedniu, ani w Berlinie wojownicza jego postawa nie pozyskała pochwały; owszem udzielono mu nawet przestrogę za zbyt gorące traktowanie rzeczy. Z drugiej strony Rosya spokojnie przyjęła ten postępek zadąsanego pupila, a nawet minister bulgarski Bałabanow doznał w Petersburgu jaknajlepszego przyjęcia. Sprawa oficerów rosyjskich weszła na tory polubownego załatwienia; w tym celu właśnie generał Kaulbars wyjeżdża do Sofii. Słowem z małej chmurki bulgarskiej deszczu— przynajmniej teraz — nie będzie.

Natomiast w Serbii wybuchły poważne bunty. Jeszcze poprzednia skupczyna, wskutek nowego prawa o służbie wojskowej, znoszącego milicyę, postanowiła dokonać rozbrojenia ludności. Nie odważono się jednak na ten krok przed wyborami z obawy rozdrażnienia włościan. Dzisiejszy jednak kierownik polityki Christicz odrazu wziął się energicznie do wykonania dekretu. Serbowie, od wieków przyzwyczajeni do noszenia broni, nie zbyt chętnie rozstawali się z nią, wszędzie jednak obeszło się bez użycia gwałtownych środków. Dopiero mieszkańcy okręgu zajczarskiego oświadczyli, że za nic w świecie dobrowolnie oręża nie złożą. Przeciw zbuntowanym wysłano wojsko i ogłoszono w okręgu stan oblężenia. Z pretekstu tego zręcznie skorzystał rząd serbski i ogłosił zarazem w całem państwie zawieszenie swobód konstytucyjnych i wolności prasy. Dziwna rzecz, z jaką łatwością ci władcy drobnych bałkańskich państewek przyswajają sobie słabe strony cywilizacyi europejskiej. Żaden z nich nie potrafi utworzyć prawdziwie parlamentarnego rządu, ale przygotować zamach stanu, rozpędzić przedstawicieli narodu lub zawiesić do czasu konstytucyę — wybornie umieją, widocznie to łatwiejsze.

Ruchy włościańskie, powtarzające się na wszystkich krańcach Europy, nie pominęły spokojnej dotychczas Rumunii. Co prawda wybuch nie nastąpił, ale w ludności panuje wrzenie, które do niego łatwo doprowadzić może. Przyczyną niechęci jest projekt przedłużenia jeszcze na lat 30 prawa zabraniającego włościanom sprzedawać posiadłości.

Nie próżnują również irlandczycy. W Londonderry przyszło do krwawego starcia między katolikami i protestantami a nawet w samej Anglii „nieprzejednani“ dali znowu znak życia, wysadzając dynamitem kolej podziemną w Londynie i część arsenału w Woolwich.

Petersburg. *Journal d. s. Peters.* półurzędownie zaprzecza, jakoby Bismark myślał o odbudowaniu Polski dla odgrodzenia Niemiec od Rosyi.

Tczew. Do policyi zgłosił się niejaki Piotrowski, aktor, z wyznaniem, że go nihiliści wysłali dla zabicia Bismarka. Znaleziono przy nim... szprycę do morfiny. Pomimo strasznych min prasy półurzędowej, nie ma wątpliwości, że jest to albo włóczęga, albo waryat, albo... Posłuchajmy drwin *Frankf. Zeitung*: „Ze swoją szprycką nie jest ów Piotrowski wcale strasznym. a nawet zdaje nam się, że to nasz dobry znajomy, którego gdzieś już widzieliśmy. Kiedy? Akurat przed dziesięcioma laty. Wtedy nazywał on się Westerwelle, miał przy sobie nienabity pistolet bez kurka i do takiej rozpaczy doprowadził Stiebera, że ten musiał nieprzydatnego do wyższych celów kandydata co prędzej schować.“ Jest to przypomnienie ośmieszonej historyi mniemanego zamachu, który uważano za komedyę policyi.

Rzym. Wielkie wzburzenie wywołała wieść, że papież grozi rzuceniem klątwy na Panteon, jeśli w nim stanie zamierzony grobowiec dla W. Emanuela. Mimo to król Humbert postanowił pamięć ojca w ten sposób uczcić.

CUDZE GŁOSY.

Zwrot ku lepszemu w stosunkach między polakami i rusinami w Galicyi zaznacza *Nowa Reforma*, ale zbyt chyba patrzy różowo, jeżeli utrzymuje, że sprawa ruska stanowczo już

„weszła na dobrą drogę. Kilkakrotne — powiada dalej — z obu stron podniesienie potrzeby zgody, na wzajemnem wyrozumieniu opartej — gorące, najczystszym patryotyzmom tchnące wyrazy ks. Kowalskiego, zastrzeżenie ks. Czartoryskiego przeciw tak bardzo niewłaściwemu i drażniącemu występowaniu w tej sprawie jednego z posłów prawicy (podolacy i stańczycy. Red.), byłyby to tylko czysto platoniczne, teoretyczne wynurzenia, gdyby im nie były odpowiedziały czyny. Te czyny nie były głośne, hałaśliwe, ale składają się one w całość, której się wstydzić nie potrzebujemy. Jeżeli np. posłowie ruscy wstąpili do koła posłów włościańskich, wzięli udział w jego obradach i weszli w skład jego komisyi, jeżeli w rozprawach nad ustawą szkolną po zamknięciu dyskusyi zapisani mówcy wybierają mówcą generalnego rusina, pomimo iż z rusinów tylko on jeden był zapisany do głosu obok trzech polaków, jeżeli ten rusin szczerze i bardzo życzliwie popiera projekt komisyi edukacyjnej — to można stanowczo twierdzić, iż fakty podobne w poprzednim sejmie były wręcz niemożliwe“.

Naszem zdaniem, sprawa ruska jeszcze nie na „dobrą“, ale co najwyżej na lepszą weszła drogę. O ile rusinów rzecz dotyczy, to z wszystkich, przez pismo krakowsko wyliczonych objawów dodatnich widać tylko jedynie, że posłowie ruscy zeszli ze stanowiska opozycyi *fakcyjnej*. Nie znaczy to jeszcze, aby oporu się wyrzekli, ku czemu potrzebaby czegoś więcej, niż tych kilka fakcików, przez *Reformę* podniesionych. Opór ten istnieje, nie jest nawet *biernym* bo — mimo zaprzeczeń p. Romanowicza — zarysował się w czasie ostatniej sesyi kilkakrotnie ostrymi nawet dosyć konturami. Faktem jest, że ze strony polskiej ku złagodzeniu jej niemal nic nie uczyniono.

Pogłoska. *Nowoje Wremia* komunikuje: „Słyszeliśmy, że kupcy kałasznikowscy (handlujący zbożem w przystani tego nazwiska), mając na widoku pomyślne dla nich rozstrzygnięcie przez radę państwa kwestyi elewatorów, udali się za pośrednictwem osobnej deputacyi do p. Katkowa! Decyzya tego ostatniego nie jest jeszcze znaną“.

Zbytnia łatwowierność. *Gazeta Polska*, wziąwszy kilka luźnych frazesów z *Gazety Krzyżowej*, dopatruje w nich zmiany przekonań sfer rządzących niemieckich w sprawie prześladowania języka i narodowości polskiej i na tej słabej podstawie buduje pocieszające wnioski.

Tymczasem organ konserwatyzmu pruskiego wcale pazurów nie chowa, owszem wysuwa je bardzo chciwie. Tylko dla religii dozwala robić ustępstwa, a zresztą domaga się zupełnej germanizacyi Poznańskiego.

A to co? Korespondent wiedeński *Gazety Warszawskiej*, mówiąc o burdzie, jaką wyprawili prof. Maassenowi studenci niemieccy, dodaje od siebie następującą uwagę:

„Professor Maassen brakiem taktu przez cały rok wywoływał skandale, które oby się skończyły na wczorajszym! "Blinder Eifer schadet nur", powiada przysłowie niemieckie, które można zastosować do prof. Maassen'a“.

Dziwnie w porównaniu z tem zdaniem polskiej gazety brzmi odnośny ustęp z *Nord. D. Allg. Zeitung*, charakteryzujący tę samą sprawę.

„To zacne i zupełnie prawidłowe wystąpienie professora Maassena poczytane zostało przez panującą w Wiedniu klikę szowinistów za grzech przeciw duchowi narodu niemieckiego i już wówczas nastręczyło krzykaczom akademickim pozór do pofolgowania swym instynktom wyuzdanym i anarchicznym. Okoliczność, że tego rodzaju postępowanie niegodne teraz, po upływie pewnego czasu, znowu powtórzyć się mogło, zaiste nie daje pochlebnego świadectwa o karności akademickiej studentów niemieckich w Wiedniu“.

Doprawdy organ Bismarka zawstydził warszawską staruszkę!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Muzyka. W poniedziałek d. 4 b. m. odbył się koncert francuskiego skrzypka, p. Emila Sauret, wobec pustych ławek sali redutowej. Nieliczne zgromadzona publiczność z prawdziwym zapałem oklaskiwała wykwintną, skończoną w szczegółach i szlachetną w pojęciu grę młodego artysty, który po nad program, złożony z zawiłego *Koncertu* Moszkowskiego, z wytwornego *Kaprysu* Saint-Saensa i niezdarnej *Rapsodyi ruskiej* własnej kompozycyi, odegrał z wielkim charakterem i zamaszyście *Mazura* Wieniawskiego.

Pani Brajnin, przyjmująca udział w koncercie, odśpiewała aryę z *Wolnego Strzelca*, bez żadnego wprawdzie poczucia stylu Webera, ale za to po niemiecku. Prześliczna pieśń Żeleńskiego, w interpretacyi p. Brajnin, była pozbawioną wszelkiego wdzięku. *S. K.*

Po amerykańsku. Redakcya *Gazety Rolniczej*, jak przekonywa dołączony prospekt, obiecuje swym abonentom dać szczególne premium — żywego buhaja, który będzie między nich rozlosowany. Pomysł oryginalny i — przyznajmy — praktyczny. Trąci on niewątpliwie szykiem amerykańskim.

Prasa. *Kuryer Codzienny* wydał już cztery tomy *Encyklopedyi powsz.* w dodatku dla swych abonentów po zniżonej cenie. Rzeczywiście 60 kop. za duży tom— to istotna taniość.

Rewizya. Wkrótce ma się odbyć przegląd warsztatów dla zbadania, o ile przepisy, dotyczące uczniów i terminatorów, są w nich zachowywane. A sprawa to nie małej wagi, ponieważ w Warszawie znajduje się 18,000 terminatorów, zapisanych w księgach kasowych.

Turniej szachowy wkrótce odbędzie się w Warszawie. Na tem polu nie damy się chyba pobić cudzoziemcom. Żyd warszawski... chciałem powiedzieć *nasz ziomek*, p. Szymon Winawer podtrzyma godnie sztandar narodowy.

Dobre informacye. Niedawno pisma codzienne doniosły o założeniu pierwszej w kraju fabryki cementu, ubolewając, że przemysł ten stoi u nas na bardzo niskim stopniu rozwoju. Tymczasem okazuje się, że zakładów produkujących cement istnieje kilka, wypada więc nietylko sprostować fakt, ale i dotyczące go uwagi, np. zwykle w takich razach: „smutno,“ zmienić na: „nie dajemy się niemcom“ itd.

Ustawa uniwersytecka. Z powodu projektowanego przekształcenia organizacyi uniwersytetów b. minister Gołowin, twórca ustawy z 1863 roku, wystąpił do Rady państwa z oddzielnym wnioskiem, w którym broni gorąco samorządu uniwersyteckiego. *Graždanin* z tej racyi piorunuje na zasłużonego męża, podsuwając mu najohydniejsze insynuacye, oskarżając, jak go nazywa: *fatalnego starca* (rokowoj starik) o zjednywanie sobie głosów za pomocą zaproszeń na wykwintne obiady itp. środków. Jakie to nieuczciwe!

Nasza statystyka. *Kuryer Warszawski* zawiadamia, że w gub. kowieńskiej zamieszkuje tylko 313,000 osób stanu włościańskiego i na każdą przypada 13 rs. 40 k. podatków, gdy tymczasem liczby te odnoszą się do tz. dusz tj. mężczyzn, zapisanych do ksiąg rewizyjnych, Gub. kowieńska liczy przeszło 1,000.000 mieszkańców, a włościanie stanowią $_3/_4$ ludności.

Biuro melioracyjne powstaje w Warszawie z inicyatywy prywatnej, a ma dokonywać wszelkich ulepszeń rolniczych i leśnych. W skład nowej instytucyi wchodzi kilku b. profesorów Instytutu rolniczo-leśnego w Puławach, co daje rękojmię poważnego kierownictwa.

Dwie płaskorzeźby, będące dziełem Michała Anioła, odnalezione zostały w Hawrze.

Kursa medyczne dla kobiet. Włościanie gub. twerskiej podali zbiorową prośbę do władz wyższych o utrzymanie nadal kursów lekarskich dla kobiet, z powodu, że przynoszą one ludności niezaprzeczoną korzyść.

Bibliografia polska. *Dzieła* Fr. Schillera w przekładzie polskim, zeszyt 2.

— *Kalendarz Repetitiorum* na rok 1883/4. Pożyteczne to wydawnictwo, oprócz części kalendarzowej, zawiera spis nieforemnych słów łacińskich, wykaz nieprawidłowych form słów greckich, miary, wagi, monety, ważniejsze formuły algebraiczne, gieometryczne i trygonometryczne, przestrzeń i ludność wszystkich państw, wreszcie dawniejsze daty historyczne. Książeczka tego rodzaju może być pomocną młodzieży szkolnej i zasługuje na szersze rozpowszechnienie.

Oszczędność. Ministeryum spraw wewnętrznych porozumiało się już zupełnie z wydziałem kontroli państwa co do zmniejszenia zasiłków rządowych dla wielu instytucyj dobroczynnych w Warszawie.

Szczególne samobójstwo. *Kuryer Warszawski* pomieścił telegram z Wiednia, donoszący, że młody hr. Potocki zranił sam siebie... w plecy! Nie bardzo chyba chciał się zabić.

Ulgi. Ministeryum oświaty projektuje studentów, nie będących w stanie opłacić wpisu, uwalniać od niego, zobowiązując do uiszczenia odpowiedniej sumy po ukończeniu nauk.

Profanacya. Tem mianem piętnuje *Kuryer Warsz.* postępowanie jakiegoś staruszka, który chodzi po domach i czyta ewangelię, za co dostaje czasem jałmużnę. Zapewne — bo to podrywa monopol tonsurowanych augurów.

Nowa pożyczka. W Paryżu prowadzą się obecnie układy o zaciągnięcie nowej pożyczki rosyjskiej 100 milionów rs. w złocie. Celem tej operacyi finansowej jest wypuszczenie nowych banknotów, wypłacanych złotem, co wpłynąć powinno na poprawę kursu. I finansiści mają złudzenia!

Zmarli. L. Kurnatowski, współpracownik pism poznańskich i korespondent do gazet warszawskich.

— Kalikst Horoch, b. oficer w. polskich. Umierając zapisał 20,000 złr. na różne ulepszenia gospodarskie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wł. S. w Płocku. Co to pomoże! Albo raz już zwracaliśmy uwagę na uderzające przykłady? W nocy wszystkie koty szare, a w nekrologach wielu pism naszych wszyscy nieboszczycy zacni. Daremnie byś Pan tłomaczył, że trzeba zachować różnicę miary, bodajby dlatego, ażeby cnota z występkiem nie miały wspólnego mianownika moralnego.

N. N. P. F. Sulimierski, do którego zwróciliśmy się po objaśnienie i który wyprawę Rogozińskiego zna najlepiej, twierdzi, że ani w domysłach pańskich, ani w załączonym wycinku z *Schles. Ztg.* niema ździebła prawdy. Po dowody odsyła on Pana przytem do *Mittheilungen* Petermanna.

PP. F. P. i Sew. P. w Warszawie. Dziękujemy Panom serdecznie za gotowość, wyrażoną w liście, nadesłanym nam przez *Kuryer Codzienny*. Gdy obłok kłamstwa i bezczelności w właściwem miejscu się rozwieje, ujrzycie Panowie, że Wasza ofiara była podwójnie zbyteczną.

Bezimiennej. Przedstawia Pani sprawę zbyt ogólnie, ażebyśmy ją rozstrzygnąć mogli. *Jeśli* wszakże ów człowiek *tak* powiedział i *tak* zrobił, naturalnie uczciwym go nazwać trudno.

P. Marcelemu O. w Saliwonkach. Nie wiemy, redakcya przyrzekła zawiadomić.

P. Leonowi Kl. w Petersburgu. Odebraliśmy.

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Kilku kolegów I kursu medycyny rs. 1. Studenci polacy Instytutu górniczego w Petersburgu rs. 8, dr. Rodziewicz z Nerechty rs. 3.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Октября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.